Nr. 41 (420). Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kc. 8 października 1932. Nal. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 24 stron. Rok IX

ŚWIATOWID

CYKLON NA JASNYM BRZEGU.



W tych dniach przeszedł nad Riwierą francuską cyklon, który wyrządził ogromne szkody szczególnie w Cannes, Juan les Pins, Antibes i Saint Raphael i wywołał popłoch wśród wytwornego towarzystwa, spędzającego jesień w tym najpiękniejszym zakątku Europy. To też powrót słońca i pogody był entuzja-

ECHA TYGODNIA.



PO ZGONIE P. MARJI ZAKRZEWSKIEJ CHAVEAU. W tych dniach zmarła w Warszawie znana artystka teatrów miejskich p. Marja Chaveau. Występy na scenie zaczęła w 1898 r. Na zdjęciu: kondukt pogrzebowy ze zwłokami śp. Marji Chaveau na Powązkach w Warszawie.





TORNADO W PORTO RICO. Antyle są bardzo często nawiedzane przez trąby powietrzne, które całe miasta obracają w gruzy. Szczególny pech prześladuje małą wysepkę Porto Rico (Bogaty Port), która w ciągu ubiegłych kilku lat już dwukrotnie została zniszczona przez tornado. Ostatnia katastrofa miała miejsce w 1928 r. i dała się we znaki stolicy tej wyspy San Juan, przed dwoma zaś tygodniami znowu trąba powietrzna spustoszyła (na zdjęciu) to miasto.

R. Sennecke.



MORDERSTWO POLITYCZNE NA KUBIE. Prezydent senatu kubańskiego Clemente Vasquez Bello został napadnięty przez swoich przeciwników i zastrzelony. Bello był przywódcą partji liberalnej. Morderstwo to świadczy, że stosunki na Kubie są w wysokim stopniu zaognione.

Keystone — Berlin.



DELEGACJA MIASTA ŁOWICZA U P. PREZYDENTA. P. Prezydent Rzpltej przyjął delegację miasta Łowicza, z burmistrzem p. Michalskim na czele (trzeci od lewej), która z okazji nadania nowej szkole powszechnej w Łowiczu nazwy „Imienia p. Prezydenta Rzpltej Ignacego Mościckiego" wręczyła Mu adres hołdowniczy.



ŻYWIOŁOWY ROZWÓJ LOTNICTWA BEZSILNIKOWEGO W POLSCE. Polska, obok Niemiec zajmuje czołowe miejsce w lotnictwie bezsilnikowem. Posiadamy już dwie stacje wyszkolenia w szybownictwie a to w Bezmiechowej i pod Sączem. Aparaty polskiej konstrukcji wzbudzają podziw za granicą. Obecnie Kamitet stoł. L. O. P. P. ofiarował Kołu lotniczemu „Start" nowy szybowiec (na zdjęciu). Oblatywał go po raz pierwszy dnia 30 b. m. p. Jonkas. Obok niego stoi znana lotniczka p. Wardasówna.





„HEJ NA BUKOWINIE“!...

Z WRZEŚNIOWYCH WYWCZASÓW NA PODHALU.

„Popijoj, popijoj, Nowy Torzek mijoj!
Nowy Torzek minies, nie bój się nie zginiesz
Zginiesz chłopcze marnie, jak ta polna muska,
Nie tak od sikirki, kiela od obuska“.

Ładna historja! Cudownie zapowiada się mój wyjazd na Podhale. Mam zginąć od



Piękne letniczki z Bukowiny. — Pierwszy po prawej Antoni Wasilewski, znany karykaturzysta.

„obuska“ (?) a tu przedemną jeszcze dwa tygodnie pięknych, słonecznych wrześniowych dni. — Odważny na kobzie gra. Jadę. Gwizdnąłem pod nosem, maszynista również. Ruszyliśmy. „Nowy Torzek“ pozostał w dali, jedynie towarzyszyła nam zakopiańska szosa, po której małe pudełeczka na kółkach wyprawiały przedziwną gymkhanę samochodową. Kłęby kurzu znaczyły wyraźnie „autostradę“ podhalańską. W takt pociągu nuciłem sobie podsłuchaną melodję. Prawdopodobnie góral wracał do hal po odbyciu ćwiczeń wojskowych. Wracał z humorem i z radością do gór. „Monopolowy“ głos jego rozpływał się długo po torach kolejowych.

„Zginies, jak ta polna muska“ brzęczały mi te słowa w uszach. Byleby tylko prędzej „dożółwić“ się do Poronina. Nie jestem zabobonny, ale może ten góral wykracze katastrofę. Pomyśleć tylko: pięć wozów i jedna lokomotywa wychodzi z „formy“ szyn, robi małe misz-masz, większy telemark i wszyscy jesteśmy na zielonej trawce. Salceson, to mało, — przekładaniec nawet nie przesadza. Setki muszek i polnych koników zgniecionych. Na szczęście Poronin. Wysiadam. Ktoś złośliwy rzuca na pożegnanie oklepane: „Baba z wozu koniom lżej“.

— Hań jest gość — wołają górale.

— Jedziemy panocku? Kuń silny, niczego się nie boi.

— Chcę jechać, tylko z Frankiem Papiżem.

Podbiega Papiż, dobrze zarekomendowany przez mego przyjaciela.

Targ w targ — Nowy Targ i jadę za 6 złociszów do Bukowiny. Parę trzasków z biczyska i bierzemy kierunek południowo-wschodni po mocno falistej drodze, przetykanej małemi kraterkami (wygasłemi w tegoroczną posuchę). Konik jak ululany. Chodzi po całej drodze, wybierając wśród wyrw dogodne przesmyki. Droga, Boże się zlituj! Jedynie emaljowane tablice umieszczone na narożnikach domów oznaczają przyszłą ulicę „Sołtysią“. W każdym razie „praca wre“. Drogi nie robią, bo poco. Letnicy i tak przyjadą. Będzie droga — tłumaczy mi Franek Papiż — to będą beskurcyje ciągle autami jeździć i tylko wypłoszą letników.

Po godzinnej jeździe wdrapujemy się po stromej górze na szczyt Bukowiny. W kierunku dyszla wynurza się Hawrań, Murań i Lodowy. Jesteśmy na szczycie, 1014 m. nad poziom morza. Begatela. Odczuwam zmianę ciśnienia powietrza. Oddecham jak Piccard w stratosferze. Na grzbiecie góry rozciąga się piękna malownicza góralska wieś na tle błękitnych Tatr. — Wioskę zamyka stylowy kościółek. Miejscowa ludność przemiła i gościnna, a co najważniejsze, niezdemoralizowana jeszcze najazdem „ceprów“. Dużą rolę odgrywa tu wprowadzona prohibicja. Opowiada mi stary góral: „Wszyćko bez te baby. Dawniej to człek był wesół, zatańczył, zabawił się, a teraz to tylko wspominki z tych dobrych czasów. Pewnego razu baby zeźliły się na swych chłopów, którzy nie pogardzali monopolem i rada w radę wprowadziły prohibicję“.

— Precz z wódką! — wołały. Niech żyje prohibicja!

Sprytniejsi Bukowianie urządzają obecnie pielgrzymki do sąsiedniego Jurgowa i Białki, ażeby „pokrzepić się“ na duchu.

Jeden że świeżo przybyłych letników nie obznajomiony z wprowadzanemi przepisami,



Kapliczka przydrożna w Bukowinie na Podhalu. *Malował A. Wasilewski.*

spostrzega na drzwiach jednego z pensjonatów napis: Wyborowa kawa, herbata“. Oczy zaiskrzyły się mu na widok fascynującej reklamy. Wchodzi:

— Proszę o „wyborową“.

— Kawę, czy herbatę? — odzywa się właścicielka.

— Nie, wyborową... wódkę — wyszeptał. Właścicielka pensjonatu omal, że nie zemdlała.

— U mnie? Pan chyba kpi? Mam tylko wyborową kawę.

Speszony letnik zmienia „lokal“.

— Znalazłem! Brawo! Nareszcie Kółko Rolnicze!

— Wódeczkę macie?

— Nimom panocku.

— To może piwko?

— Tes nimom panocku.

— A papierosy?

— Nikaj.

— No więc co macie?

— My tylko mamy „filję“ Kółka Rolniczego.

Dnie mijają w nastroju bridżowym. Pensjonat „Marzenie“ — jak marzenie.

Nadchodzi niedziela. Już od wczesnych godzin porannych zwołuje wiernych mały dzwonek kościelny. Przewija się barwny korowód góralskich serdaków, koszul, chustek. Kolory wprost palą się w słońcu. Lud w skupieniu wysłuchuje Mszy św. Pobożny, lecz nieco zabobonny...

— O będzie discyć — pomrukują górale.

Rzeczywiście. Niespełna po godzinie nadciągają chmury z nad skalistych Tatr. Deszcz siąpi. Pada godzinę, dwie. Noc zbliża się. Horyzont przeszywają błyskawice. Pioruny walą jak z moździeża. Północ za chwilę. Nagle rozlegają się dzwony.

— Pewnie gdzieś się pali? — woła ktoś w pensjonacie.

Biegniemy. Żadnej łuny, a tu dzwonią i dzwonią.

— A może kościół gore?

Wpadamy do kościółka.

— Dlaczego dzwonicie, czy pali się?

— Nikaj. Rozganiamy tylko chmury i pioruny.

— Jak to dzwonieniem?

— A no tak. Od setek lat jeszcze nigdy piorun nie uderzył w Bukowinę.

Zwyczaj ten zakorzenił się już od pradziadów dzisiejszych Bukowian. Dzwonią, gdy tylko chmurki pokażą się na nieboskłonie.

* * *

Po 14-tu mile spędzonych dniach wracałem z żalem z tej pięknej, miłej i najwyżej położonej wsi na Podhalu. „Nowy Torzek“ minąłem, niestety zginąłem w dusznych ulicach wielkiego miasta, zginąłem na cały rok...

A. Wasilewski.

CZARNY CIEŃ NAD JASNYM BRZEGIEM.

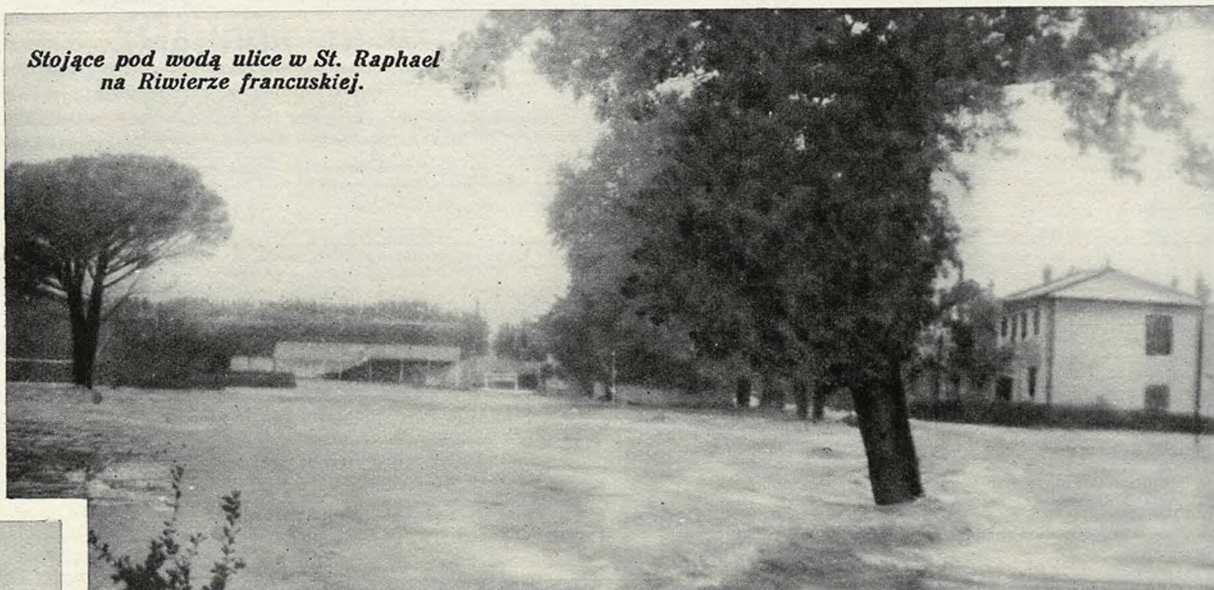
Świat żyje w ostatnich czasach w niewątpliwym „passie" różnych nieszczęść i katastrof. Nedawno przeszedł nad Portorico groźny cyklon, który spowodował poważne straty, wyrażające się w sumie 200 zabitych, 1.800 rannych i 75.000 bezdomnych. Zkolei Grecja doświadczyła katastrofy trzęsienia ziemi na półwsypie Chalcydyke. Na Nowej Zelandji pojawiła się fala trzęsienia ziemi w zatoce Hawkes, a wreszcie groźna burza przeciągnęła nad Riwierą francuską.

Ostatnie lata nie były zbyt pomyślne dla Riwiery francuskiej, która przeżyła znaczny kryzys z racji odpływu cudzoziemców, a po części dzięki temu, że moda na takie ośrodki jak Nicea zaczyna mijać. Zrobiły jej konkurencję Biarritz, oraz pobliskie Juan les Pins. Nadomiar złego, do tej kryzysowej konjunktury przyłączyła się katastrofa żywiołowa.

Według otrzymanych wiadomości, cyklon szalał na przestrzeni pomiędzy Niceą a St. Maxime. Drogi biegnące nad wybrzeżem zostały zalane, linje kolejoew uszkodzone, a domy ucierpiały na skutek wichury, oraz rozszalałych fal morza. W miejscowości St. Maxime szereg domów zawalił się, a w kasynie na skutek runięcia skrzydła, szereg osób zostało rannych. Część promenady wybiegającej w morze, zawaliła się do wody. Rury gazowe pękły na skutek nacisku podobnie jak i rury wodociągowe. Kilka osób postradało życie.

W zatoce Juan szereg domów uległ zawaleniu się, a latarnia morska jest zagrożona na skutek poderwania fundamentów. Część słynnej miejscowości Antibes znajduje się pod wodą, podobnie jak w Juan les Pins, gdzie w niektórych punktach woda zalała na trzy metry place i ulice. W miejscowości Cannes szyny kolejowe zostały zerwane na dystansie pięciu kilometrów i o mało pociąg ekspresowy, idący z ogromną szybkością, nie wykoleił się. Dzięki przytomności funkcjonarjusz kolejowych zdołano na czas zatrzymać pociąg.

Caał Riwiera francuska żyje pod wrażeniem tej ponurej katastrofy.



Stojące pod wodą ulice w St. Raphael na Riwierze francuskiej.



Trzy gracje z Jasnego Brzegu.



Ewakuowanie ludności z zagrożonych powodzią obszarów na Riwierze.

KOSZMARNY OBRAZEK Z WARSZAWY.

Fotografja, którą reprodukujemy, stanowi bardzo smutne świadectwo metod, jakie stosują w naszej stolicy dla przetransportowywania umysłowo chorych. Krępowanie powrozami nawet najbardziej podnieconych chorych psychicznie, należy już dziś do historji, i zdarzyć się jeszcze może tylko gdzieś na głębokiej prowincji. W większości przypadków wystarczy do uspokojenia chorego zastrzyk silnie działającego narkotyku — w innych, rzadszych przypadkach zastosować się musi kaftan bezpieczeństwa, który jest jednak stokroć humanitarniejszy, niż krępowanie nieszczęśliwego powrozami.

Nasuwają się tu jeszcze inne smutne refleksje. Chorego wiozą do Tworek. Czy znajdzie się tam dla niego miejsce? Wszak mamy w Polsce, według minimalnych obliczeń, ponad 32 tysiące umysłowo chorych, wymagających bezwzględnej opieki zakładowej — a dla tych 32 tysięcy chorych mamy zaledwie 15 tysięcy łóżek... A nowych zakładów nie buduje się.

Skutek jest ten, że bardzo często, szczególnie na wsi, rodziny przechowują umysłowo chorych, niby dzikie a niebezpieczne zwierzęta w chlewach lub stajniach, gdzie nieszczęśliwcy ci spędzają długie lata w zupełnem zapomnieniu, oczywiście nie leczeni i dopiero jakiś przypadek wyzwala ich z tej strasznej udręki.

Do najlepiej urządzonych w Polsce zakładów dla umysłowo chorych należą Kobierzyn pod Krakowem, Tworki pod Warszawą, Kulparków koło Lwowa i Lubliniec na Śląsku. Na nowe zakłady niema pieniędzy. Ważki to argument. Niemniej jednak coś trzeba będzie zrobić, aby publiczność nie była zmuszona oglądać tak koszmarnych scen, jak to miało miejsce na dworcu warszawskim.

Dr. G.



Na dworcu głównym w Warszawie udało się fotografowi „Światowida" uchwycić na kliszy moment prowadzenia do pociągu jakiegoś umysłowo chorego, związanego powrozem, jak dzikie zwierzę.

WIELKI SAMOTNIK WYRUSZA ZNOWU W PODRÓŻ PO OCEANIE.



Alain Gerbault wyjeżdża z portu w Marsylji na nową wyprawę. *Keystone, Berlin.*



Widok na wyspy Hawajskie, które stanowić będą etap podróży Alain Gerbault'a. *Presse-Photo.*

Gazety doniosły, że głośny żeglarz francuski, Alain Gerbault wyrusza w nową podróż swoim kutrem żaglowym z Marsylji. Kuter ten liczy zaledwie 9 tonn pojemności, a nazwany jest imieniem samego żeglarza. Posiada on trzy kabiny, w których mieszczą się kolejno: pracownia, sypialnia i kuchnia.

W ten sposób drugi „statek" śmiałego żeglarza przedstawia się bardziej luksusowo, aniżeli jego pierwszy żaglowiec, który wędrował po wielu morzach świata. Nazywał się on „Firecrest". Na nim to włóczył się Alain Gerbault przez kilka lat, powodując kilkakrotnie niepokój, gdy nadchodziły wiadomości o zatonięciu jachtu żaglowego na dalekich morzach. Ze wszystkich opałów i wszystkich burz wychodził francuski żeglarz zwycięsko. Wreszcie zjawił się w Marsylji, ogorzały od słońca i zachwycony swą samotną włóczęgą.

Alain Gerbault znany był przed swoją wyprawą, jako doskonały tennisista, który zdobył szereg nagród i trofeów w zawodach we Francji, a zwłaszcza na Jasnym Brzegu. Potem znudziło go życie światowe i występy sportowe i postanowił użyć bezwzględnej samotności, zbratany tylko z morzem i słońcem. Wyprawia się na swoim jachcie, budząc powszechną nieufność, czy ta mała łupinka zdoła się uporać z niespokojnem morzem?

Żaglowiec Alaina Gerbaulta zdaje znakomicie egzamin. Okazuje się niezwykle wytrzymałym i sprawnym, co przypisać należy nietylko doskonałości wykonania, ale także i wielkiej umiejętności żeglarskiej Alaina Gerbaulta. W ciągu długich miesięcy samotnych wędrówek poznał on tajemnice prądów powietrznych i zmian pogody, wskutek czego umiał kierować swoim „Firecrestem" w sposób zupełnie mistrzowski.

Alaina Gerbaulta, w którym żył stary instynkt żądzy przygód i niebezpieczeństw, pociągały najwięcej wyspy mórz południowych, pełne słońca, świetnie zbudowanych mężczyzn i kobiet i pogańskiej prostoty życia. Tam też najdłużej przebywa samotny żeglarz, zawierając przyjaźń z bronzowymi dzikusami, pływającymi jak ryby i posuwającymi się niezmiernie szybko po falach morza na swoich lekkich „pirogach".

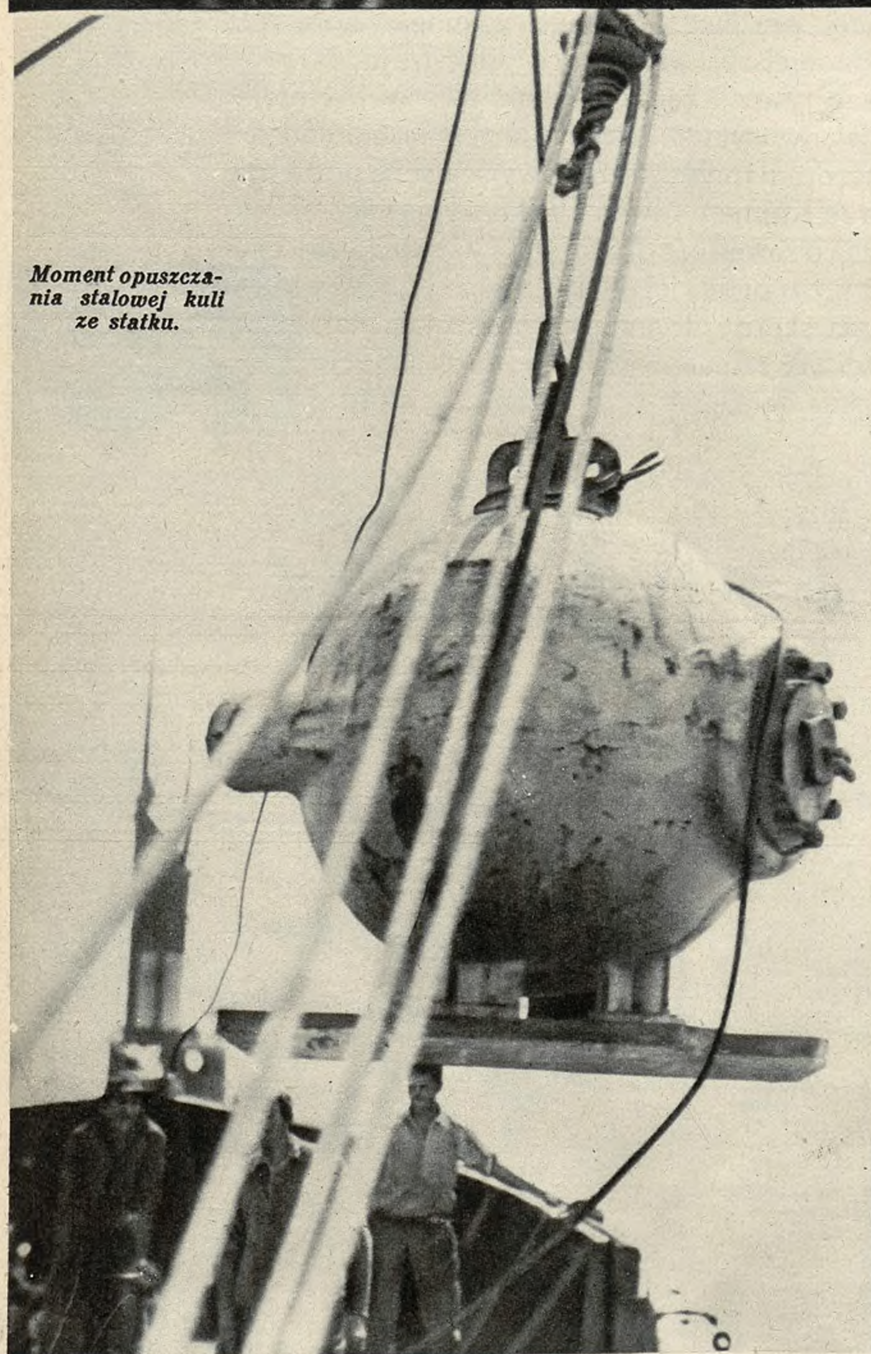
I tym razem Alain Gerbault kieruje kurs swojego jachtu ku wyspom Polinezyjskim. Przedewszystkiem ma on zamiar przepłynąć Atlantyk, a potem przez kanał Panamski wypłynąć na Ocean Spokojny i dążyć błękitnym szlakiem do wysp Polinezji. Znowu nadejdą dla niego długie godziny bezwzględnej morskiej samotności, dni burzy i pogody. I znowu nastawiał będzie samodzielnie żagle swojego jachtu, gotował swoje posiłki i czytał w bibljotece, pełnej nagród tennisowych i pięknie oprawnych książek.

Poprzednia wędrówka Alaina Gerbaulta przyniosła dwa dzieła. Pierwsze z nich nosiło tytuł „Sam przez Atlantyk" i cieszyło się olbrzymiem powodzeniem. Druga książka w dwóch tomach pojawiła się przed dwoma laty i nosiła tytuł „W pogoni za słońcem". Została ona przełożona na szereg języków światowych i zdobyła sobie szeroką popularność.

Prawdopodobnie i ta nowa włóczęga Alaina Berbaulta przyniesie tyle wrażeń wielkiemu żeglarzowi, iż postara się on o utrwalenie ich w nowej książce. Alain Gerbault jest doskonałym typem sportowca, nie lękającego się niczego i polegającego tylko na sobie. Podróże jego mają w sobie pociągający element wielkiej przyrody i wspaniały rozmach, który musi fascynować wszystkich. Alain Gerbault gardząc luksusowemi apartamentami na wielkich statkach oceanicznych, woli obcować z pięknem i wrogiem morzem bezpośrednio, i w samotności...

z. g.





Moment opuszczania stalowej kuli ze statku.

Profesor William Beebe opuścił się w tych dniach w stalowej kuli, w pobliżu Bermudów, na głębokość 1.500 metrów.

Fotografja dna morskiego.

W STALOWEJ KULI NA DNIE MORSKIM.

Na Bermudach, angielskim archipelagu na Atlantyku, odległym o 965 km. na wschód od północno-amerykańskiego Przylądka Kap Hatteras, dają sobie rendez-vous bogaci Amerykanie, którzy tutaj spędzają w cudownym klimacie jesień i zimę. Na Bermudach panuje bowiem wieczna wiosna. Charakterystyczną cechą tych wysp jest to, że niema tam linij kolejowych i że używanie aut jest wzbronione. Wszyscy jeżdżą tam więc po staroświecku dorożkami.

Czasem do archipelagu tego zawinie jakiś angielski statek wojenny, aby zaopatrzyć się w wodę i węgiel. Czasem znowu ukaże się statek pasażerski, wiozący nowych kuracjuszy. Otóż kuracjusze ci mieli w tych dniach nielada sensację. Byli bowiem świadkami wielkiego wyczynu naukowego, dokonanego przez doktora Williama Beebe, jednego z najodważniejszych i najsławniejszych badaczy głębin morskich i ich tajemnic.

Jest on znany w szerokich kołach pod nazwą Piccarda głębin, ponieważ zdołał opuścić się na dno morskie poniżej 450 metrów, czyli na poziom, gdzie jeszcze nigdy nie stanęła stopa żywego człowieka. Rekord ten jednak nie zadowolił sławnego badacza i dlatego postanowił on dostać się do „stratosfery“ głębin, t. j. na głębokość od 750 do 1.000 metrów. W tym celu skonstruował on kulę stalową o średnicy 1 metr 40 cm., której grubość wynosiła 3.10 cm. Stal użyta do budowy tej kuli była specjalnie hartowana, musiała bowiem wytrzymać olbrzymie ciśnienie głębin morskich. Ciśnienie to wzrasta przy zanurzeniu się o każde 10 metrów, o 1 kg. na cm^2, w głębokości zaś 750 m. wynosi ciężar kilku tonn na powierzchnię wielkości dłoni.

W tych dniach profesor Beebe kazał się zamknąć w tej kuli i przy pomocy specjalnych lin opuścić na dno morskie w pobliżu Bermudów.

Mijała minuta za minutą. Powoli kula pogrążała się w wodzie i nareszcie zniknęła w odmętach. Profesor William Beebe, mając jednak do dyspozycji radjo, porozumiewał się bezustannie z kapitanem okrętu i inżynierami, obsługującymi windę. Wreszcie po kilku godzinach wytężonej pracy profesor Beebe dał znak, że znajduje się na dnie morskiem i rozpoczął swoje obserwacje przez specjalną szybę, przy pomocy reflektorów. Kiedy go później wyciągnięto z wody, otoczyli go zwartem kołem dziennikarze, pytając o wrażenia.

— Światło — odpowiedział profesor Beebe — w głębinach morskich dochodzi do 20 metrów pod powierzchnię wody. Na tej głębokości jest jeszcze tak jasno, jak w noc księżycową. Na głębokości 450 metrów dochodzą tylko słabe odbłyski światła, jak od gwiazd z drogi mlecznej.

— A czy zimno jest?

— Temperatura tam jest lodowa. Zupełne ciemności rozjaśniają fosforyzujące ciała najprzeróżniejszych ryb i dziwnych potworków, które stanowią dla siebie świat zamknięty. Niektóre np. ryby mają, jakby reflektory w oczach. Inne znowu wypuszczają ze siebie płyn, który w zetknięciu z wodą świeci jak palący się płomień. Światło to zwabia inne ryby i stworzonka, które potem giną w paszczach drapieżników.

Szczególnie niebezpieczne są t. zw. smoki morskie. Nie są one zbyt wielkie, ale mają straszliwe zęby, któremi miażdżą swoje ofiary. Najdziwaczniejsze są ryby, uzbrojone w peryskopy. Ukryte za skałami, ryby te wypatrują peryskopem łupu i w odpowiedniej chwili rzucają się nań.

— Więc nawet na dnie morskiem panuje wieczna walka?

— Tak i to walka na śmierć i życie. Wszystko tam się pożera i zjada wzajemnie.

Profesorowi Beebe udało się sporządzić film z dna morskiego. Film ten będzie z pewnością sensacją ekranów amerykańskich i europejskich, a rewelacją dla kół naukowych. Odsłoni bowiem niejedną zagadkę oceanu i da obraz tajemniczego życia w głębinach morskich, gdzie panuje wieczna cisza i mrok.

Inż. H. K.

U KRÓLOWEJ POLSKIEGO EKRANU.

Rozmowa „Światowida“ z Jadwigą Smosarską.

Czy życie znanej i sławnej artystki filmowej, lub scenicznej jest tylko jednym wielkim pasmem szczęścia, jak to sobie wyobrażają laicy, czy też ma ono i swoje cienie, obok niezawodnych blasków?

Na to interesujące pytanie odpowiada wysłannikowi „Światowida“ gwiazda ekranu polskiego p. Jadwiga Smosarska, co następuje:

„...od aktora na dużem stanowisku, zwłaszcza od aktorki wymaga się poza talentem b. wielu rzecz m .in., żeby miała linję, piękną cerę, żeby tańczyła, śpiewała, znała obce języki, a nadewszystko, żeby nietylko na scenie, ale i w prywatnem życiu była zawsze „ubrana“!

Otóż to wszystko kosztuje bardzo dużo!

„Piękna Pani“ z poza świata teatralnego chce również dbać o swoją cerę, linję, o swe toalety... chce!... ale nie musi. Aktorka często nie chce wydawać pieniędzy na to wszystko, ale musi, bo poza talentem, to decyduje w znacznej mierze częstokroć o jej karjerze. Od wyglądu zewnętrznego uzależnione jest stanowisko, od stanowiska gaża, zaś od tej ostatniej egzystencja. Nawet ta publiczność, która do danej aktorki odnosi się z wielką sympatją, gotowa ją każdej chwili stracić, jeżeli ta aktorka z jakiegokolwiek powodu czyto materjalnego, czy innego na chwilę „wyszła z formy“.

Jeśli „piękna pani“ będzie miała o x sukien mniej, tuszę o parę kilo większą, gorszą cerę, to od tego nie będzie uzależnione stanowisko jej, lub jej męża. Aktorka częstokroć do jednej sztuki musi sprawić więcej sukien, niż „piękna pani“ przez cały rok.

„A potem mówi się: ta aktorka musi być bogata, skoro może sobie pozwolić na takie toalety i na tyle toalet“.

„Osoby prywatne zużywają swe zarobki wyłącznie na życie prywatne, natomiast aktorka musi lwią część swej gaży wydać na rzeczy niezbędne dla swego fachu, na życie prywatne pozostaje jej czasami mniej, niż połowa zarobków...“.

„Aktorom zarzuca się czasami, że posiadają własne samochody. Zarzut taki może postawić tylko laik. Nim wytłumaczę, dlaczego aktor dąży do tego, by mieć własny samochód, muszę naszkicować jego dzień pracy.

„A więc wstaje się o godz. 9 — kąpiel, śniadanie, gimnastyka, masaż, na wszystko to jest zaledwie godzina, czasami dwie czasu. O 10, 11 rozpoczynają się próby, które trwają przeciętnie do godz. 15, 16, generalne próby zaś do godziny 18, 19, tak, że nieraz wprost z próby idzie się na przedstawienie. Wraca się do domu koło godz. 24.

„W czasie takiego dnia trzeba znaleźć czas na: uczenie się roli, w rozmiarach przeważnie 100, 200, czasami nawet 250 i więcej arkuszy, na zamówienie tualet u krawcowej, na przeczytanie gazet, książki, ewentualne lekcje śpiewu, tańca, czy inne zajęcia związane z jego fachem.

„Dzień aktora filmowego jest równie pracowity, a może nawet bardziej męczący. Praca w atelier od rana do nocy, przeważnie po 12 do 14 godzin, bez godzinnej przerwy na obiad. Nerwowe i fizyczne wyczerpanie, tropikalny upał, jaki dają lampy i reflektory wszystko to powoduje, że aktor taki marzy poprostu, żeby dostać się do domu wykąpać się i położyć spać. Jeśli znajdzie trochę czasu dla siebie, nic dziwnego, że ucieka z miasta do ciszy, do świeżego powietrza. Na kawiarnie, restauracje, teatry, kino pieniędzy nie wydaje. i za te pieniądze ma samochód. Dodać muszę, że własny samochód zaoszczędza wiele pieniędzy, które przy tak gorączkowej pracy trzebaby było wydać na niezbędne środki lokomocji.

„Powie ktoś: A przecież tak często spotyka się aktorów w kawiarniach? Owszem! Ale są to ci przeważnie, którzy nie prowadzą domu, którzy chcą od czasu do czasu odprężyć swoje nerwy i rozerwać się, bo kiedy oni pracują, inni się bawią.

* * *

Przeżycia i nerwy aktora!

Aktor jak każdy człowiek ma swoje przeżycia. Nieszczęścia, choroby itd. spotykają go w równej mierze, jak wszystkich innych śmiertelników. Jedna jest tylko różnica pod tym względem. Gdy człowiek prywatny może w razie czego usunąć się i w spokoju i ciszy przeboleć nieszczęście, aktor nie ma prawa do tego. Jest własnością ogółu. Choćby go spotkało nie wiadomo jakie nieszczęście, wieczorem musi być „w formie“.

Pamiętamy wszyscy sztukę graną w Teatrze Letnim“ p. t. „Noc sylwestrowa“. Grała w niej p. Jadwiga Smosarska. Widząc ją rozpromienioną, wesołą, grającą z werwą i życiem, nikt nie przypuszczał, że ta kobieta na parę dni przed premjerą tej sztuki straciła matkę. Często podczas prób reżyser zwracał jej uwagę na brak humoru. Ale tylko na próbach, wobec kolegów mogła p. Jadwiga pofolgować swemu bólowi. Podczas gdy bowiem na scenie grała jedno z najweselszych widowisk, w domu umierała jej matka. Bezpośrednio po pogrzebie trzeba było znów pójść na próbę, zaś w kilka dni po pogrzebie matki, osoby, której strata wytrąca z równowagi człowieka najbardziej nawet opanowanego, kiedy przeciętny człowiek zamyka się w sobie, oddala od świata, p. Smosarska występowała w „Nocy Sylwestrowej“, sztuce pełnej humoru, muzyki, zabawy...



Oto cienie karjery filmowej...

* * *

Rzeczy te wyglądają jakby z jakiegoś filmu, czy opowieści, a jednak to wszystko jest prawdziwe, realne i dotyczy osoby, którą wszyscy znają, której nazwisko nie jest obce nikomu — p. Jadwigi Smosarskiej!

* * *

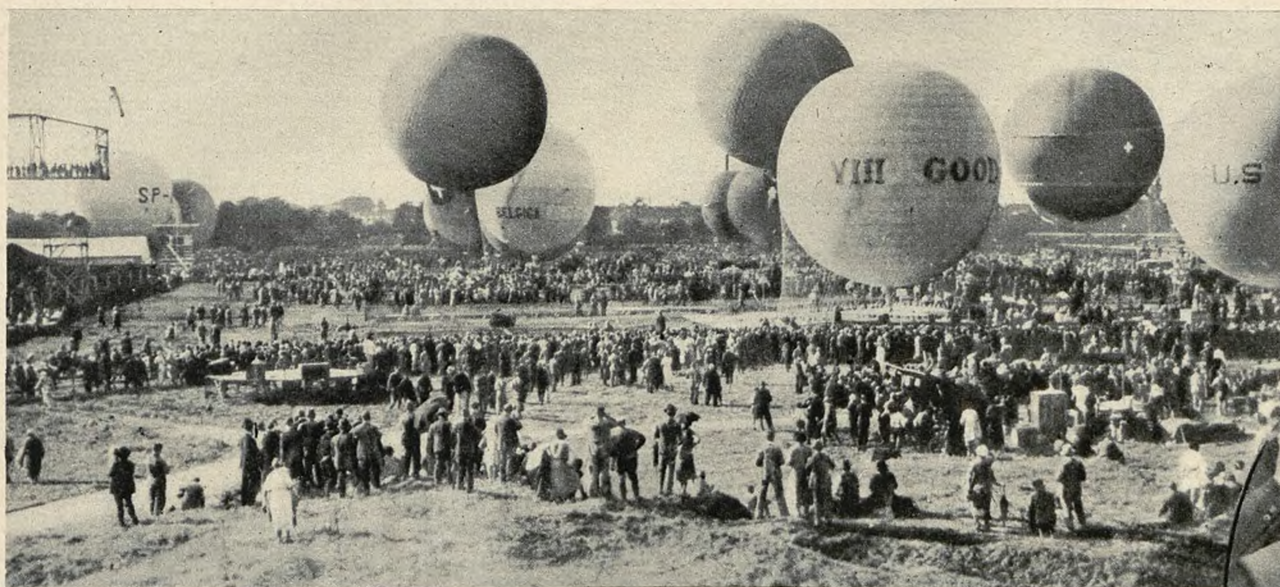
Aktor musi być zawsze „w formie“. Bo tego żąda publiczność. Od tego zależy jego powodzenie, jego karjera!

* * *

Może fakt, że p. Smosarska jest zawsze „w formie“ i umie być „w formie“ jest jedną z tajemnic jej powodzenia. Trudno powiedzieć, co decyduje o powodzeniu. Jedno jest pewne, że każdy artysta, czy artystka, ciesząca się sympatją szerokiego ogółu, ma w sobie coś, co Amerykanie nazywają „sex appel“. P. Jadwiga Smosarska ma w sobie to „coś“ i tem zdobyła olbrzymią popularność!

B. Si.

PO LOCIE BALONÓW KULISTYCH



Dnia 26-go września br. odbył się w Bazylei start (na zdjęciu) do lotu balonów kulistych, o nagrodę Gordon Benneta. Wzięła w nim udział także i Polska.

Począwszy od roku 1907 z przerwami odbywają się zawody balonów kulistych o nagrodę Gordon Bennetta. Pierwsze zawody urządzono w Paryżu, a zwyciężył w nich Amerykanin, Lahm, przelatując 647 km. w ciągu 22 godzin. W myśl regulaminu zwycięzcą zostaje zawodnik, który odbędzie najdłuższą drogę w linji prostej bez lądowania. Balony kuliste używane do zawodów są pędzone jedynie wichrem, a nie śmigami motoru. Pilot więc musi wykorzystać umiejętnie prądy powietrzne i manewrować tak, aby jaknajdłużej utrzymać się na odpowiedniej wysokości i nie opaść przed czasem.

W tym roku na starcie w Bazylei znalazło się dnia 26-go ub. m. 17 balonów, w czem 2 polskie, t. j. „Gdynia" i „Polonja". Zajęły one 4-te i 7-me miejsce, lądując koło Warszawy, co należy uważać za wynik bardzo zaszczytny. Polska bowiem uległa właściwie tylko Ameryce, która, jak dotąd, jest na tem polu bezkonkurencyjna.

Zwycięstwo przypadło w udziale i tym razem Amerykanom, z których jeden wylądował koło Kowna, a drugi koło Dalgielikiszek na Wileńszczyźnie, przebywając blisko 1.500 km. Na piątem miejscu znajduje się balon niemiecki „Essen", który przeleciał 1.054 km.

Jak widzimy więc polskie balony spisały się świetnie, zwyciężając doskonałe zespoły francuskie, bejgijskie, szwajcarskie i niemieckie.

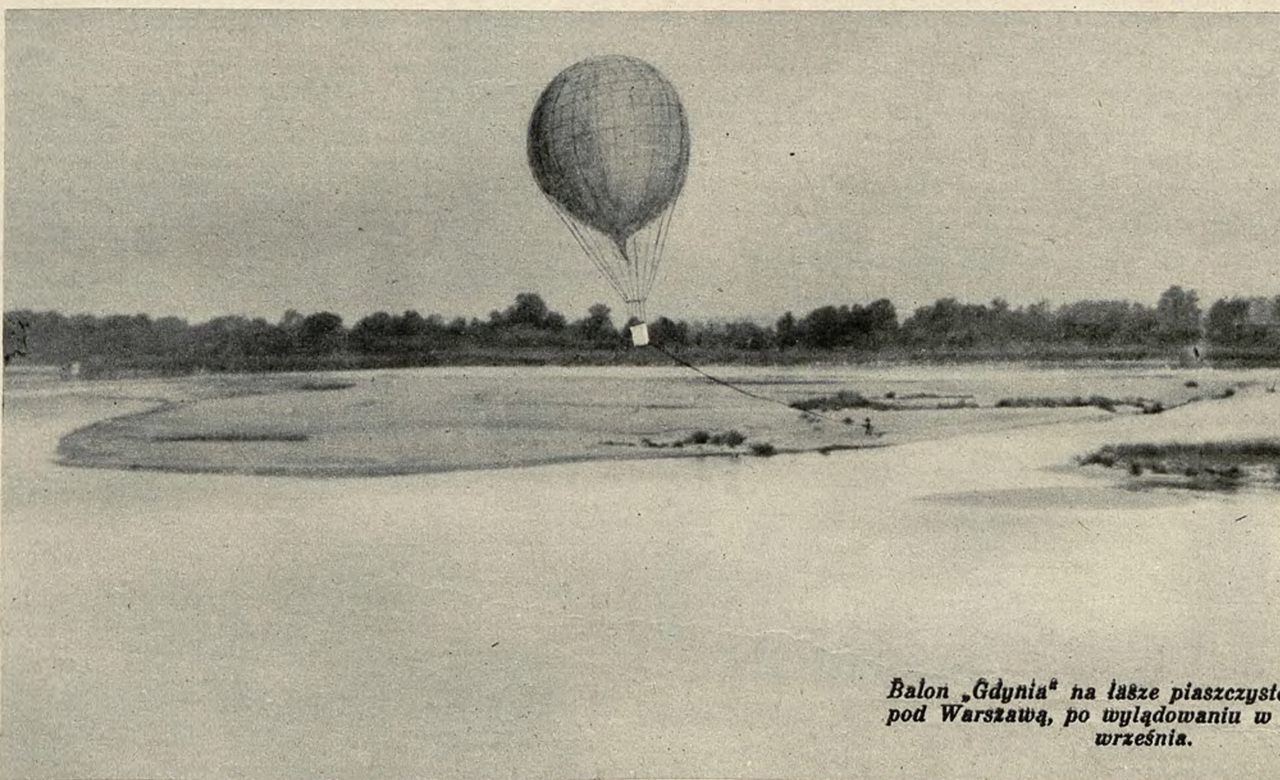
Balony kuliste są dzisiaj używane prawie wyłącznie dla celów sportowych, a nie komunikacyjnych. Zostały bowiem wyparte przez sterowce, a przedewszystkiem „Zeppeliny", które bez żadnych trudności odbywają podróże z Niemiec do Ameryki i z powrotem i mają zasiąg bez lądowania około 8 tysięcy km., biorą na swój pokład do stu osób załogi i dają podróżnym maksimum bezpieczeństwa.

Ale jeszcze przed kilkudziesięciu laty, kiedy nie znano aparatów lotniczych, cięższych od powietrza, balon kulisty był symbolem ikarowych dążeń człowieka.

Najpiękniejszą rapsodję ku czci balona kulistego wyśpiewał przed 30 zgórą laty bohaterski Andree, który w balonie usiłując dotrzeć do bieguna północnego, zginął z wyczerpania i głodu na jednej z wysp, na której balon opadł.



Piloci balonu polskiego „Gdynia" por. Hynka i por. Burzyński.



Balon „Gdynia" na łasze piaszczystej na Wiśle pod Warszawą, po wylądowaniu w dniu 26-go września.



Niemiecki balon „Stadt Essen" na chwilę przed startem. Załogę jego stanowili Dr. Maulon i Eimermacher.

333

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



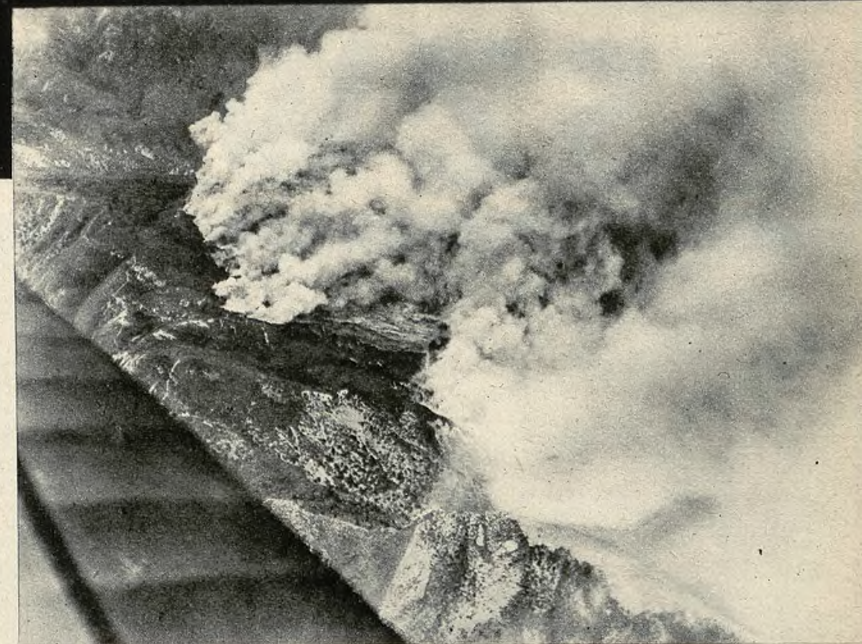
POLSKIE SKRZYDŁA NAD AZJĄ. Dnia 2 b. m. wystartował z Warszawy do lotu nad Azją Mniejszą, Persją i nad Afganistanem kapitan-pilot Karpiński z mechanikiem Rogalskim na aparacie „Lublin R. X". Pierwszym etapem jego lotu był Konstantynopol. Kpt. Karpiński należy do najzdolniejszych polskich lotników. Aparat, jaki oddano mu do dyspozycji ma wszelkie walory polskich samolotów, które powoli zdobywają sobie uznanie w całym świecie. Lotnicy nasi odwiedzą po drodze Jerozolimę, Kair, Bagdad i Aleppo. Na zdjęciu kpt. Karpiński i mechanik Rogalski na chwilę przed startem.



OWACJE DLA ZDOBYWCY MANDŻURJI. Do Tokio powrócił szef armji japońskiej, która zdobyła Mandżurję, generał porucznik Shigeru Honjo. Na dworcu witały go nieprzeliczone tłumy, jako bohatera narodowego, który do Japonji przyłączył olbrzymi szmat ziemi. Narazie jednak dzieło zjednoczenia Japonji z Mandżurją nie jest jeszcze ukończone. Liga Narodów, która bada tę sprawę nie chce powziąć wiążących decyzyj, czekając, aż sytuacja sama się wyjaśni. Japonja jednak zapowiedziała kategorycznie, że na wypadek, gdyby ta decyzja szła po linji interesów chińskich, natychmiast z Ligi Narodów wystąpi.



POD TYM WZGLĘDEM FRANCJA JEST JEDNOMYŚLNA. W odpowiedzi na memorandum niemieckie w sprawie t. zw. dozbrojenia wygłosił premjer francuski Herriot wielką mowę polityczną na bankiecie w Gramat, w której podkreślił, że Francja nie zgodzi się nigdy na to, aby Niemcy, wyzwoliwszy się z pod postanowień traktatu wersalskiego, ograniczających ich zbrojenia, mogli stać się znowu czynnikiem niepokoju. Ta mowa Herriota zrobiła w Niemczech piorunujące wrażenie. Szczególnie żywe echo znalazła mowa premjera Herriota w Polsce. Na zdjęciu: premjer Herriot, siedzący w towarzystwie mera Gramatu Mazeta (po lewej) i deputowanego Malvy'ego (po prawej).



OLBRZYMI POŻAR. W Kalifornji, w dorzeczu rzeki Matilija, wybuchł olbrzymi pożar, który zniszczył około 1000 m² odwiecznego lasu. Z górą 400 ludzi pracowało nad zlokalizowaniem tego pożaru. Na zdjęciu widok płonących lasów z aeroplanu.

Feljeton tygodniowy.

MIGAWKI Z GRUDZIĄDZA.

Kiedym się jednemu z miejscowych obywateli zwierzył z sekretu, iż zamyślam coś niecoś o Grudziądzu napisać do „Światowida", ten, (obywatel, nie „Światowid") postawiwszy wielkie oczy, wzruszył ramionami, jakby chciał rzec:

— Iiii... „takie coś", zaś ale znajdziesz pan w naszem mieście coś interesownego? Nic się tu u nas, od czasu pierwszej transzy kryzysu światowego, nie dzieje ciekawego.

I w rzeczy samej Grudziądz, owo ładne, nad urwistym



Przed nabożeństwem w starożytnej farze.

brzegiem Wisły malowniczo rozpostarte miasto pomorskie, śpi snem twardego kryzysu.

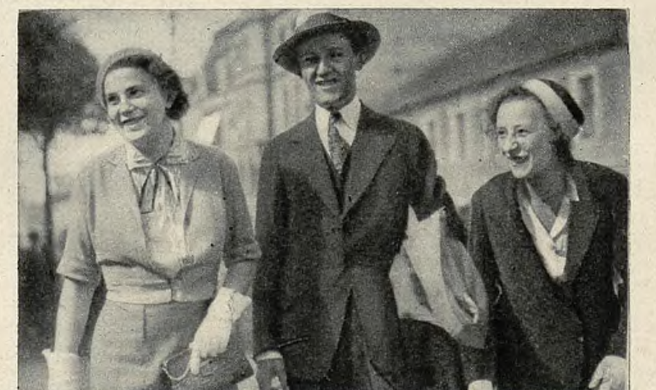
Więc zapewne z takim mozołem nasza delegacja ministerjalna nie poszukuje na rynkach światowych pożyczki, jako ja na pięknym Starym Rynku się przechadzając, do „Światowida" poszukiwałem aktualnego tematu reporterskiego. Z szarzyzny dnia prowincjonalnego, bądź co bądź, miasta, choć liczącego przeszło 60.000 mieszkańców, nie tak łatwo wydobyć coś, coby zainteresowało mieszkańca Kolina, Grodna, Piotrkowa i t. d. Wszystkie te miasta prowincjonalne średnich rozmiarów mają tę wspólną cechę podobieństwa, że się w nich nic nie dzieje. Mógłbym prawda, sięgnąć po Orłowicza i przy pomocy tego przewodnika po Pomorzu zdefraudować opis o Grudziądzu, ale nie zawsze linja najmniejszego oporu jest linją uczciwą.

Skąd się ten gród, o którym przedsięwziąłem pisać, znalazł na tem miejscu, na którem stoi, o tem grudziądzanie dobrze wiedzą a innych mało to obchodzi. Przyjmijmy, jako ustalony stan faktyczny, że Grudziądz położony jest nad szlakiem wodnym szerokiej tu Wisły: Toruń—Gdańsk.

Grudziądz i Toruń stanowią dwa największe ośrodki miejskie prowincji Pomorskiej i jako „takowe" haniebnie z sobą rywalizują; osobliwie dawniej. Dziś, w obliczu grozy kryzysowej, napięcie partykularnych ambicyj może osłabło. Ale co to się drzewiej wyprawiało? Difficile est satiram non scribere! Obywatel Grudziądza chodził nadęty, bo to Grudziądz, stolica przemysłu pomorskiego. Mieszkaniec Torunia nosa do góry ustawił, bo Toruń stolicą województwa Pomorskiego. Razem przed resztą Polski chełpiły się: Grudziądz... kaloszami „Pepege" — Toruń... piernikami i Kopernikiem.

Aż nastał okres, mówiąc stylem biblijnym, siedmiu krów... z suchotami. Olbrzymia grudziądzka fabryka „Pepege", zatrudniająca w dobie konjunktury do 7 tysięcy robotników, sterczy ku niebu melancholją wystygłych kominów. Wielkie fabryki „Unja", „Herzfeld i Victorius", dające zatrudnienie kilku tysiącom robotników, ograniczyły pracę do mizernego minimum. Największe w Polsce zakłady ceramiczne również zwęziły zakres pracy. I rozlało się po mieście bezrobocie.

Rozrastający się gospodarczo Grudziądz, liczebnością mieszkańców przewyższający miasto wojewódzkie, Toruń, kurczy się z dnia na dzień. Centralne instytucje wojewódzkie i gospodarcze, które sobie Grudziądz, nie Toruń umiłowały, poczynają uciekać stąd, jak szczury z tonącego okrętu. Izba Przemysłowo-Handlowa w Gdyni, Izba Skarbowa chce do Torunia, Okręgowy Urząd Ziemski, podobnie Bank Rolny oglądają się za innem lokum. Stąd to Grudziądzowi, a zwłaszcza prezydentowi miasta, p. Włodkowi, na płacz się zbiera, że oto do owocu jego zabiegów i starań zakradł się kryzysu czerw plugawy i toczy świetnie obiecującą przyszłość gospodarczą miasta. Daremnie zacny przewodniczący rady miejskiej, mec. Szychowski, kombinuje, coby na przynętę zastawić, aby popłoch w „uciekinierach" opanować. — Nic nie pomaga. Dano hasło do odwrotu i ot, rozpacz.



A jednak życie jest piękne — zdają się mówić roześmiane twarze mieszkanek Grudziądza.

— Panie — rzecze do mnie jeden z kupców, którego skład bławatów mógłby stać się ozdobą najładniejszej ulicy handlowej stolicy — zaczynam żałować, że mam rozbudowany luksusowo swój skład.

— Nie rozumiem!

— Zrozumie pan, jak pan spojrzy do wnętrza. Dziś dzień targowy, popatrz pan. A dawniej? — z westchnieniem dorzucił — nie przecisnąłbyś się pan tutaj, taki był tłok. Rolnictwo niema nic, fabryki stoją. Kto ma kupować? Urzędnicy? Ale i ci tylko patrzeć, jak wyjadą.

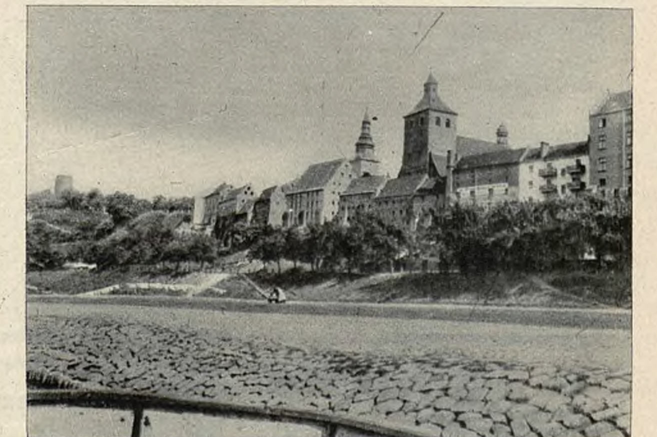
Ale stop! Zabrnąłem w smutny temat. Przysłowie polskie „jakoś to będzie" nie jest znów takiem bzdurnem powiedzeniem. I byłoby źle, beznadziejnie kiepsko, gdyby nie to, że przeciętny obywatel Grudziądza trzyma się jeszcze deski nadziei, jak tonący... żiletki. Swiat jest piękny, tylko go ludzie narazie źle umeblowali.

— Przyjdzie czas, wszystko się ułoży! — powiadam.

— Ale do grobu — wtrąca mój pesymista.

Nie wierzę mu jednak. Jest cudny dzień świąteczny. Przed starożytną farą ciżba narodu. Wszystko to odświętnie przybrane, zażywne, dostatnie. Pytasz się, człowiecze, wzrokiem: gdzie tu kryzys? Proszę spojrzeć na roześmiane jagody grudziądzanek. Buzie pełne, radosne, roześmiane. Kryzysu ani śladu. Zdaje się, że najlepsze lekarstwo na kryzys to młodość. Czyż smucić się Polsce? Przecież to jeszcze podlotek państwowy!

A więc furda wszystko! I kto z grudziądzan nie zarażony chorobą naszych czasów: stękaniem i kwękaniem na wszystkich i wszystko, idzie do „Baru pod Trzema królami" (mały grudziądzki Hawełka) na przekąskę z piwem „Jubileuszowe" browaru grudziądzkiego, potem na tańcówkę do Królewskiego Dworu (uwaga orjentacyjna: mimo królewskich lokali, Grudziądz jest bardzo mało monarchistyczny!) lub po południu na herbatkę do „Warszawianki", dla odmiany do „Wielkopolanki", wieczorem do wykwintnego kina „Gryf", albo do teatru, potem na jedzenie kiszek do „Hotel Kellas", a znów potem do kabaretu „Mazurka".



Panorama Grudziądza od strony Wisły.

I muzyczka gra: „Rumba, rumba, kto narzeka, ten jest... trumba!". „Byczo" znów tak nie jest, to racja — ale przecież mogłoby być stokroć gorzej, aniżeli jest źle!

Leon Sobociński.



MISTRZOSTWA TENISOWE DLA ZAWODOWCÓW. — Tytuł mistrza świata wśród zawodowców tenisowych zdobył na rozgrywkach w Berlinie Francuz Plaa, zwyciężywszy Anglika Burke. Na zdjęciu Plaa, otrzymujący puhar z rąk sędziów.



PRZED NOWĄ WYPRAWĄ DO BIEGUNA POŁUDNIOWEGO. Znakomity podróżnik norweski Riser Larsen, który brał udział w wyprawach podbiegunowych Amundsena, zamierza w 1933 roku udać się do bieguna południowego. Szczegóły tej wyprawy są trzymane narazie w tajemnicy.



ANGLJA W WALCE O RYNKI ZBYTU. W Anglji jest zerejestrowanych blisko 2 i pół miljona bezrobotnych, którzy pobierają zasiłki ze skarbu państwa. Nic więc dziwnego, że rząd angielski stara się o zdobycie nowych rynków zbytu, przedewszystkiem w swoich dominjach i w krajach europejskich, aby przez to ożywić przemysł. Polityka wysokich ceł prohibicyjnych nie dała spodziewanych rezultatów, w związku z czem podali się do dymisji ministrowie Herbert Samuel, Sinclair i Snowden, którzy w gabinecie reprezentowali kierunek liberalny. Natomiast znacznie lepsze rezultaty dają wystawy przemysłu brytyjskiego, organizowane w tych krajach, które są zainteresowane w eksporcie swych płodów rolniczych do Anglji. Do tych krajów należy przedewszystkiem Danja. Dlatego rząd brytyjski zorganizował tam wielką wystawę przemysłu angielskiego, na otwarcie której przybył książę Walji, który już wielokrotnie, jak n. p. w Brazylji, okazał się doskonałym agentem angielskiego przemysłu. Na zdjęciu widzimy go kroczącego w towarzystwie króla duńskiego Chrystjana X. (po lewej), przed frontem byłych kombatantów wojennych.

I SZWEDZKA ARMJA ĆWICZY.



Król szwedzki Gustaw V. Sędziwy ten monarcha jest zapalonym tenisistą i kolekcjonerem dzieł sztuki.



Następca tronu szwedzkiego ks. Gustaw Adolf na manewrach.

W tych dniach odbyły się w Szwecji, w rejonie Sztokholmu wielkie manewry armji szwedzkiej. Brało w nich udział 16.000 ludzi pod dowództwem następcy tronu ks. Gustawa Adolfa.

Szwecja należy do krajów, usposobionych najbardzej pokojowo w Europie i nie mających żadnych konfliktów ze swoimi sąsiadami, mimo to jednak rozumie ona, że w dzisiejszych stosunkach jedyną gwarancją niepodległości i dobrobytu jest tylko armja. Dlatego też stara się, aby armja ta stała na wysokości zadanie i w razie potrzeby mogła skutecznie bronić granicy kraju przed obcą inwazją. Naczelne dowództwo tej armji spoczywa w rękach energicznego następcy tronu ks. Gustawa Adolfa, który nosi imiona swojego wielkiego protoplasty, jednego z największych wojowników z XVII wieku.

Ale też w tych czasach Szwecja była potęgą militarną w każdym calu i prowadziła zwycięskie wojny, walcząc równocześnie na kilku frontach. Szczególnie wiek XVII zapisał się chlubnie w dziejach szwedzkiego militaryzmu, kiedy to wojska szwedzkie rozlały się po całej północno-wschodniej Europie, a przedewszystkiem po Polsce. Rok 1655 najazdu szwedzkiego na Polskę należy też do najtragiczniejszych lat naszej historji i stanowi najsmutniejszą kartę tej wielkiej epopei rycerskiej, która posłużyła za kanwę Sienkiewiczowi od napisania „Potopu".

Dziś zapomnieliśmy już o tych dawnych walkach i z największą życzliwością i serdecznością zwracamy się do naszej miłej sąsiadki północnej Szwecji, z którą łączą nas żywe stosunki handlowe, gospodarcze i kulturalne. Szwecja bowiem, chociaż posiada zaledwie 6.000.000 ludności, jest krajem dobrobytu, wolności, postępu i w gronie państw europejskich, a nawet światowych, zajmuje poczesne miejsce.

Dobrobyt jej jest ugruntowany przedewszystkiem na pracowitości obywateli, na rozległych stosunkach handlowych i bogactwach naturalnych. Głównem zajęciem ludności jest rolnictwo, aczkolwiek do uprawy nadaje się tylko południowa część kraju, a ziemie orne wraz z łąkami zajmują 12% całego obszaru w Szwecji. Bogactwa kopalń są obfite (ruda żelazna), a przemysł oparty jest głównie na zyżytkowaniu siły wodnej licznych rzek górskich i wodospadów. Szczególnie dominujące stanowisko umieli Szwedzi zdobyć w przemyśle zapałczanym i w fabrykacji łożysk kulkowych.

Ważną pozycję w eksporcie szwedzkim zajmują ryby i drzewo.

Ogromne **zasługi** położyła Szwecja w dziedzinie rozwoju sportów. Wtedy bowiem, kiedy jeszcze w całej Europie nie śniło się nawet o wychowaniu fizycznem, Szwecja miała już swój system gimnastyczny, który zczasem opanował cały świat.

Do najpopularniejszych osobistości zarówno w Szwecji, jak i zagranicą należy władca tego kraju, sędziwy Gustaw V-ty. Jest on zapalonym kolekcjonerem dzieł sztuki i tennisistą, występując w różnych rozgrywkach na Jasnym Brzegu, jako mister X.

Zna go tam każde dziecko i obok Grety Garbo jest on najlepszą żywą propagandą tego sympatycznego, pięknego i tak blisko z Polską związanego kraju, jakim jest Szwecja. F. K.



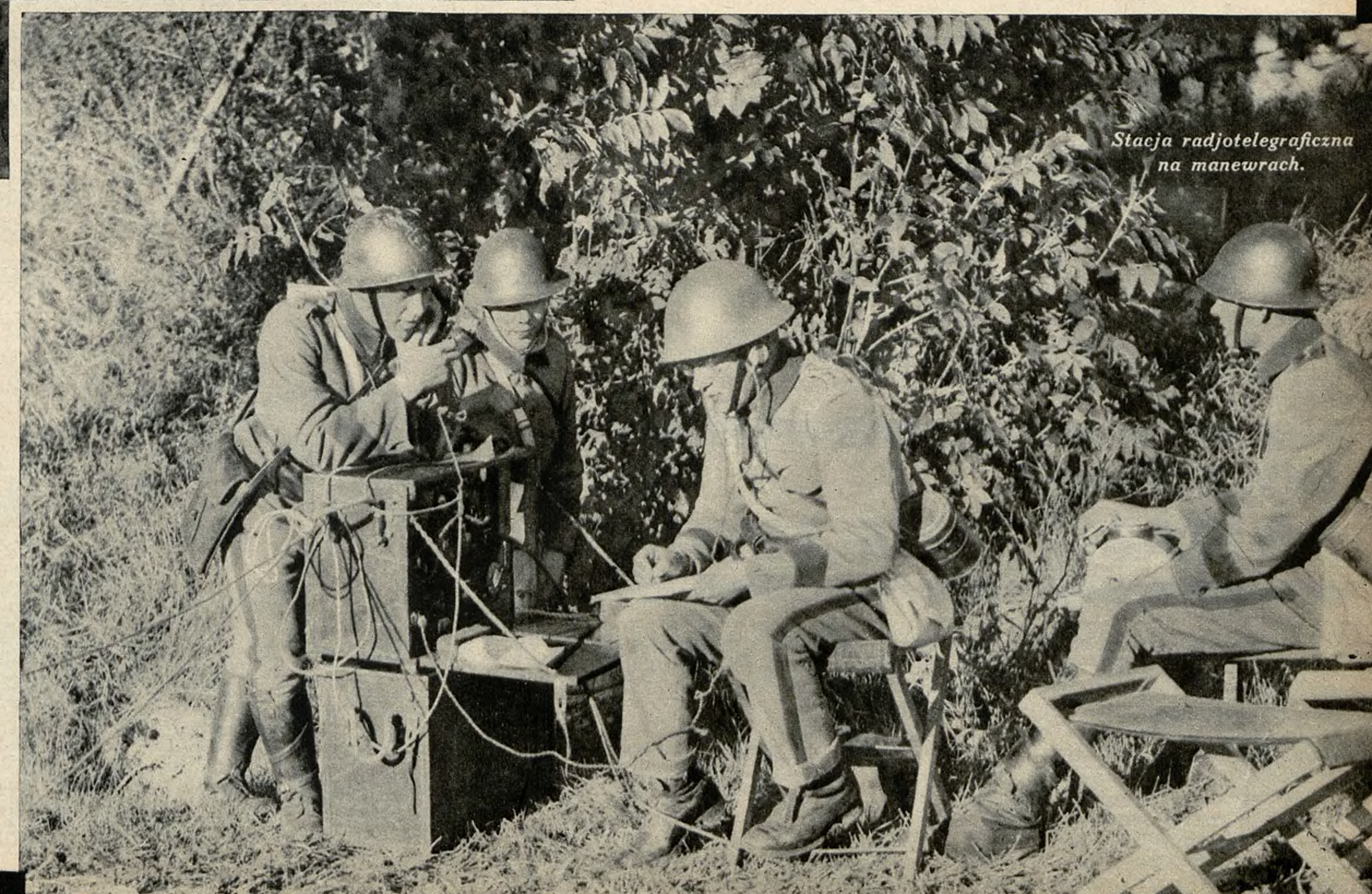
Zamek Haga pod Sztokholmem, siedziba następcy tronu szwedzkiego.



W ub. tygodniu odbyły się w okolicach Sztokholmu manewry armji szwedzkiej pod dowództwem ks. Gustawa Adolfa. Na zdjęciu piechota szwedzka w marszu.

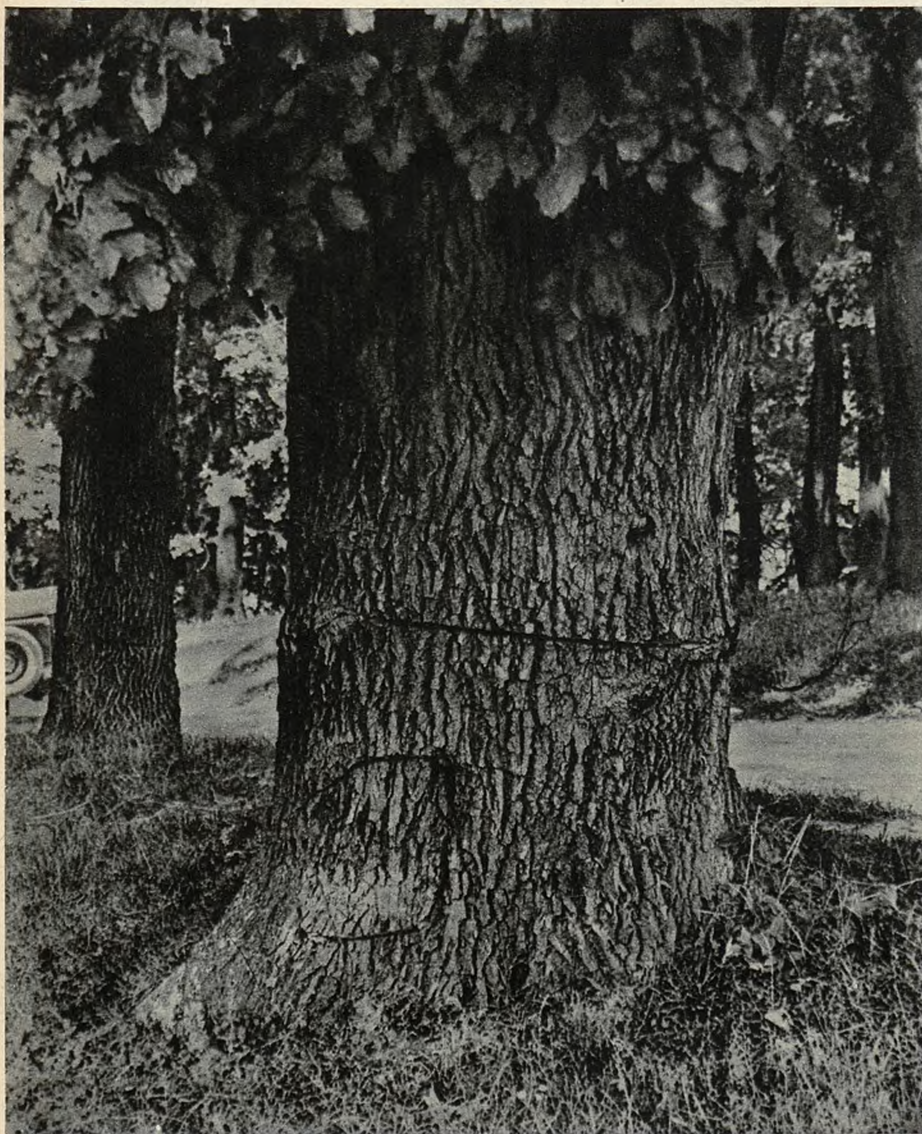


Ćwiczenia artylerji szwedzkiej.



Stacja radjotelegraficzna na manewrach.

DĄB JAKO ŚWIĘTE DRZEWO.



Prastary dąb w Śledziejowicach pod Krakowem.

U Słowian pogańskich i u ludów, zamieszkujących północno-wschodnią Europę, oddawano drzewom, a przedewszystkiem dębom cześć boską. Kronikarz Helmold wspomina o świętych dębach na Pomorzu, przy których odbywały się różne obrzędy i uroczystości. Dostęp do tych dębów był dozwolony tylko dla kapłanów i książąt. W Szczecinie jeszcze w X wieku stał dąb prastary przy gontynie i był, wedle mniemania ludu, przybytkiem bóstwa. Wiele plemion słowiańskich i litewskich nie budowało wcale bogom swoim świątyń, a posągi ich osłaniano tylko, przy drzewach świętych, strzechą od słoty. Prusacy wierzyli, że liście dębowe noszona szyi zabezpieczają od nieszczęść. Wśród dębów słynnych, pierwszeństwo trzymał swoim ogromem i latami dąb Baublis na Żmudzi, w majątku Bordziach. Liczono go na 1000 lat. Spłonął on w 1811 roku, podpalony przypadkiem przez pastucha. Z pnia jego zrobił właściciel majątku p. Paszkiewicz altanę, mającą 10 metrów obwodu i porozwieszał w niej zbroje, wykopaliska itd. Glogier wspomina o dębie jagiellońskim we Wróblowicach (powiat Drohobycz). Zgorzał on w 1900 r. Z istniejących do dzisiejszego dnia dębów na ziemiach polskich do najokazalszych należą dęby w Rogalinie, majątku wojewody poznańskiego hr. Raczyńskiego i dęby w Śledziejowicach koło Wieliczki.

W Polsce znajduje się ogółem około 1500 miejscowości, które wzięły swą nazwę od dębu. Są to: Dąbie, Dąbki, Dębowa, Dąbrowa, Dąbrowica, Dęby itd. Karłowicz przypuszcza, że wyraz Dąb brzmiał pierwej w językach słowiańskich: Dąbr (stąd Dąbrowa) i miał oznaczać wogóle drzewo rosnące.

Ponieważ zauważono, że pioruny najczęściej biją w dęby, przeto lud miał przed tem drzewem lęk zabobonny, uważając, że są one najbliższe bogom. Z poszumu dębów wróżono o przyszłych losach, a Rzymianie nie laurem, ale dębowym liściem wieńczyli zasłużonych ludzi. Kościół katolicki, pragnąc wykorzenić tradycje pogańskie, kazał odwieczne dęby albo wycinać, albo też umieszczał na nich święte obrazki i figury. I oto początek tak typowych dla krajobrazu polskiego **kapliczek** przydrożnych.

POJEDYNEK NA SZABLE KAWALERYJSKIE.

Oficjalnie pojedynki są zakazane prawie we wszystkich państwach europejskich, niemniej jednak są one na porządku dziennym, gdyż wielu ludzi uważa, iż tylko krew może obmywać zniewagi. Jeszcze przed wojną we wszystkich państwach monarchistycznych pojedynki były tolerowane w armjach, i oficer, któryby się uchylił od dania satysfakcji honorowej z bronią w ręku, bywał uważany za niehonorowego i jako taki wykluczany z korpusu oficerskiego. Dziś poglądy na sprawę pojedynków zmieniły się bardzo, i dawne rozprawy orężne zastępują sądy honorowe. Mimo to są kraje, jak np. Węgry, gdzie pojedynki są na porządku dziennym. Dzieje się to dlatego, ponieważ Węgry są krajem o przewadze szlachty, pielęgnującej z zamiłowaniem dawne tradycje rycerskie. Szczególnie częste są na Węgrzech pojedynki na szable. Bronią tą bowiem władają Węgrzy świetnie i obok Włochów należą w tej konkurencji do mistrzów świata.

Rozróżniamy pojedynki na szable, do pierwszej krwi i do trzeciej krwi. To znaczy, że w wypadku pierwszym pojedynek jest uważany za skończony przy choćby najdrobniejszem zranieniu któregokolwiek z walczących. Przez trzecią krew rozumiemy takie zranienie, które powoduje niezdolność do dalszej walki. O niezdolności tej orzeka lekarz.

Pojedynków tych nie należy mieszać z pojedynkami „burschów“ niemieckich, które prawie nigdy nie kończą się śmiercią, gdyż celem ich jest tylko przyozdobienie twarzy w blizny.

W wypadkach ciężkich obraz, jest stosowany pojedynek na pistolety z jednokrotną lub trzykrotną wymianą kul, z podejściem, lub ze stałych miejsc. Odległość wynosi przeważnie 25 kroków, lufy pistoletów są niegwintowane. Prawo zwyczajowe nie pozwala celować, ale strzelać po opuszczeniu ręki. Po pojedynku zazwyczaj przeciwnicy podają sobie ręce na znak zgody.



Prowadzący pojedynek na Węgrzech zwraca uwagę wyzwanemu i wyzywającemu, że prawo zakazuje spotkań orężnym i wzywa ich, aby się pojednali. Nie czekając jednak na ich odpowiedź, odpowiada: ponieważ panowie nie chcą się pogodzić, zaczynamy pojedynek. — Stoją od lewej do prawej: wyzywający, lekarz, prowadzący pojedynek i wyzwany. Walczący uzbrojeni są w ciężkie kawaleryjskie szable, wyostrzone, jak brzytwy.

LIKWIDACJA BIEDA SZYBÓW NA ŚLĄSKU.

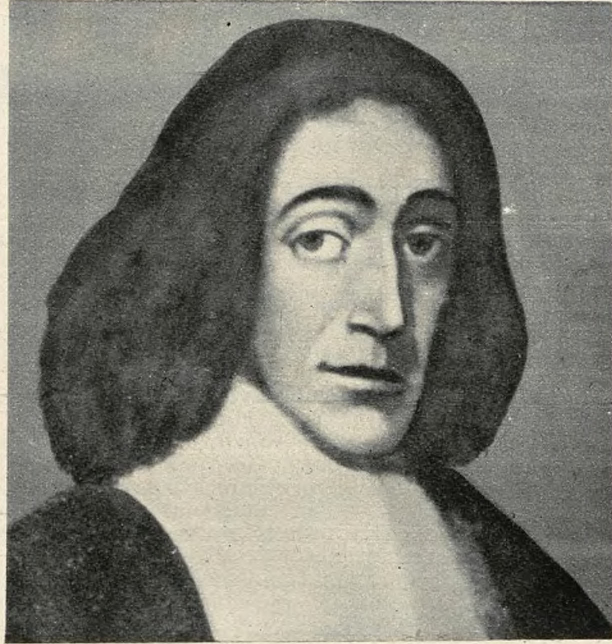
W ciągu ostatnich lat bezrobotni na Śląsku, pragnąc zarobić kilka groszy na chleb codzienny, wzięli się do wydobywania węgla, bądź z nieczynnych kopalń, bądź też z płytkich odkrywek. Obliczono, że 12 tys. ludzi utrzymywało się z tego procederu. Początkowo władze patrzyły przez palce na ten cały handel cudzym węglem, z czasem jednak bieda-szyby (tak nazywają na Śląsku nielegalne szyby, eksploatowane przez bezrobotnych), stały się groźną konkurencją dla właścicieli kopalń i zaczęły zagrażać bezpieczeństwu publicznemu. Bezrobotni nie zadowalali się już zdobywaniem węgla na własne potrzeby, ale nawiązali stosunki handlowe z hurtownikami i poczęli wagonami wywozić węgiel do większych miast Śląska, a nawet do Częstochowy i t. d. Węgiel ten znajdował chętnych nabywców, ponieważ kosztował tylko połowę tego, co żądano na oficjalnej giełdzie. Wreszcie władze zmuszone były do stanowczych kroków, aby bieda-szyby zlikwidować. Akcja ta, która obecnie prowadzona jest energicznie, spotyka się jednak z żywiołowym sprzeciwem bezrobotnych i jest wyzyskiwana przez żywioły przewrotowe.



Bezrobotni ładujący węgiel z Bieda Szybów na fury.

BRUNO WINAWER.

DLACZEGO KIEŁBASĘ KRAJEMY UKOŚNO?



Baruch Spinoza 1632—1677, jeden z największych filozofów świata, którego trzechsetną rocznicę urodzin obchodzi obecnie cały świat cywilizowany.

Jeden z milszych znajomych moich, przyrodnik, wrócił niedawno ze wsi zapadłej, gdzie spędził wakacje i zaraz po powrocie opowiedział mi głosem ze wzruszenia drżącym bardzo prostą historję. „Pewnego dnia o zmroku — mówił — dostrzegam pod lasem chłopa. Czyta! Wyobraźcie sobie — czyta! Zbliżam się, rozpoczynam z kmiotkiem rozmowę. Odpowiada bardzo dorzecznie. Chcę się dowiedzieć, co go tak zajęło, co studjuje tak zapalczywie na łączce w słabem świetle gasnącego słońca. Po długich ceregielach pokazuje mi książkę... Tak zwany „podręcznik dobrego tonu“ czyli o tem, jak się zachować w towarzystwie. Na brodę Mahometa, radźcie! Coś trzeba zrobić! Ten człowiek miał najlepsze zamiary! Szukał wiedzy w drukowanem słowie: To nie jego wina, że trafił na brednie! Radźcie!...“.

Niby to tak łatwo! Sam Gutenberg-wynalazca zdębiałby, gdyby dziś na świat wrócił, usiadłby na łączce i czytał może jeszcze głupszą broszurę. Lawina druków przewala się ustawicznie po lądach i wodach, bryzga pianą aż pod błękit niebieski, monotypy się spieszą, maszyny płaskie i rotacyjne wypluwają strumienie zaczernionego papieru, rozwozimy ten produkt wagonami, autami ciężarowemi, samolotami, zeppelinami. Jeden z poważniejszych uczony pisze dziełko o atomie. Usprawiedliwia się we wstępie, że nie mógł ogarnąć całej literatury przedmiotu, bo ileś tam tysięcy prac i rozpraw na ten temat powstaje tygodniowo czy miesięcznie. W Anglji ufundowano specjalną bibljotekę, poświęconą dziełom o wojnie. Już po kilku latach książnica rozrosła się w sposób nieprawdopodobny, a znękany bibljotekarz wniósł podanie o dymisję.

Dziw, że ludzie wogóle odnajdują drogę w tych papierowych zaroślach, pusztach i sawannach, cud, że trafiają czasami na ciekawą książkę! Wytwarza się widać w człowieku powoli jakiś odrębny instynkt samozachowawczy, węch. W Ameryce i w Anglji specjalne komitety czuwają zresztą nad czytelnikiem, przesiewają, segregują, wybierają co miesiąc z olbrzymiego plonu rzeczy bardziej wartościowe, zajmujące. Czasem też jakiś ogień dyskusji rozświetli nagle okolicę i wskaże biednemu zbłąkanemu wędrowcowi ścieżynę zbawczą i dróżkę w gęstwinie.

Taką właśnie — z wielu względów pożyteczną — dyskusją jest odwieczny spór przyrodników z „filozofami“ o rząd nad duszami. Kwestja doprawdy nie należy do „akademickich“ i nie ma nic wspólnego z osławionemi kłótniami fakultetów. Chodzi poprostu o to, że zdumiewające postępy wiedzy przyrodniczej — przesunęły raptownie front naukowy i znów skierowały uwagę na pytanie, co właściwie robią... tamci? Jaką zawierają treść grube foljały, pełne spekulacyj, trudnych słów i dociekań scholastycznych? Już głośny Otto von Guericke, burmistrz magdeburski, świetny fizyk i wynalazca, pisał w wieku 17-ym: „wszelka filozofja, której *doświadczenia* nie popierają jest czcza, błędna i bezużyteczna“. To zdanie podzielał widocznie i Newton, bo zastrzega się w dziełach wyraźnie *„hypotheses non fingo* — przypuszczeń za wiedzę nie podaję“. Po wielu smutnych i bolesnych doświadczeniach badacze przekonali się, że pusta dialektyka im tylko przeszkadza w pracy, poszli naprzód własną ciernistą drogą i pozostawili medytujących filozofów daleko. Niech siedzą.

Rzecz ciekawa — przeszło sto lat temu, kiedy jeszcze nie było mowy o genjalnych, wszechogarniających pracach Einsteinów, Jeansów, Peancków, o analizach spektralnych i doświadczeniach biologicznych znakomity Gustaw Teodor Fechner wyśmiewał bezpłodne, jałowe metody filozoficzne w świetnej rozprawie *„Dlaczego kiełbasę krajemy ukośnie?“*. Zadawał to pytanie największym autorytetom swego czasu, notował skrzętnie odpowiedzi, rozpatrywał zagadnienie ze wszystkich stron, próbował ustalić, czy to ze względów estetycznych, czy raczej praktycznych tniemy salami na elipsy. Co najciekawsza — zapierzał się w tym traktacie, dorabiał odsyłacze, zapominał chwilami o żartach, ale wreszcie dostrzegł, że drepce na miejscu. Słaby umysł ludzki — samem rozumowaniem — nie może rozwiązać zagadki owalnych plasterków... Musielibyśmy się uciec do jakichś prób, to znaczy puścić filozofję kantem i zająć się uczciwą pracą laboratoryjną.

Przyrodnicy do tego ważnego wniosku doszli już dawno. Wiedzą, że każda z nauk przechodziła ongi bardzo przykrą chorobę, dziecinną — okres spekulacji — i dopiero po wyzdrowieniu rozwinęła się i zakwitła.

Więc też kiedy jednego z najlepszych współczesnych fizyków-teoretyków amerykańskich, Richarda C. Tolmana z Kalifornji, poproszono niedawno o odczyt w kółku filozoficznem na temat nowszych poglądów kosmicznych, zaczął od bardzo zajmującej cytaty: „filozofja jest systematycznem nadużywaniem pewnej — specjalnie w tym celu wymyślonej — terminologji“. To zdanie ukrywa w żartobliwej formie głębszą treść, mogłoby się stać świetną busolą na papierowem morzu, ułatwić maluczkim nawigację, ocalić tłumy biednych czytelników od zagłady...

Wałkowałem je długo, aż wreszcie któregoś dnia zdobyłem się na odwagę niezwykłą. Zwróciłem się do najgenjalniejszego z uczonych dzisiejszych, posłałem mu ową cytatę z Tolmana i prosiłem, by mi powiedział, co właściwie zawdzięcza nauce „spekulacyjnej“; czy nie czas wreszcie oznajmić tłumowi, że pewna krynica wiedzy wyschła...

I otrzymałem odpowiedź! Na karcie z nadrukiem *Albert Einstein* znalazłem — głęboko wzruszony — co następuje:

Szanowny Panie! Filozofja jest jakby matką, która pozostałe nauki zrodziła i wyposażyła. Nie trzeba nią w jej nagości i ubóstwie gardzić, ale mieć nadzieję, że coś z jej ideałów donkiszotowskich żyć będzie dalej w jej dzieciach i że się nie zagubią w drobiazgach. A. Einstein.

Te słowa brzmią w oryginale o wiele piękniej, mają szlachetny rytm wersetu bibljinego. Kto się w nie wczyta uważniej — znajdzie obok hołdu dla dawnych minionych myślicieli (byli zresztą przyrodnikami przeważnie) wyraźne stwierdzenie faktu, że rodzicielka jest dziś naga i nędzna i że „dzieci“ dźwigać muszą same ciężkie brzemię, szukać mozolnie dróg i zdobywać świat.

Rozumiemy teraz, czemu to tyle grubych foljałów zestarzało się nagle po bibljotekach. Ich twórcy próbowali rozstrzygnąć czystą „spekulacją“, dialektyką, dlaczego kiełbasę krajemy ukośnie. Zadrukowali furę bibuły, ale sprawy nie rozwiązali.

Rozgarnięty kmiotek mego przyjaciela mógł był trafić na książkę znacznie gorszą, niż kodeks towarzyski.

ROWEREM Z EGIPTU DO SUDANU.

(Od naszego specjalnego korespondenta).

Modlitewną ciszę wczesnego poranka zmącił płaczliwy śpiew muezzinów — który długo drżał w przestworzach — aż wkońcu odbity echem od fantastycznie rzeźbionych skał pustyni — przepadł bezpowrotnie...

Wkrótce potem ozwał się nieśmiało głos dzwonka z kościółka OO. Franciszkanów — a prawie równocześnie z poza szczytów gór wyjrzała różowa tarcza słońca — złotem barwiąc bezbrzeżną zda się taflę wód — które potężny Nil rozlał po ścierniskach.

Ożyły wioski Fellahów — ożyło tuż obok leżące miasto Luxor — a bezbrzeżne rozlewy Nilu zaroiły się od wędrownego ptactwa, które po nocnym locie na żer opadło na wody.

W miejscach, gdzie płytka woda dozwala widzieć święte łodygi „durry“, czyli trzciny cukrowej — a gdzie tem samem więcej żeru, tak rojno od ptasich włóczęgów, że wody prawie nie widać. Są i kaczki dzikie, gęsi, żórawie, bociany i cała masa innych ptaków brodzących, bądź to z północy przybyłych, bądź stale żerujących po polach ryżowych, czy licznych kałużach i kanałach. — Gęganie i klekot łączy się z szeptem wód w melodyjną jakąś tajemną pieśń poranną, która tak kojąco działa na nerwy, że chwila taka starczy na twardą walkę zbliżającego się dnia jazdy.

Tak! — odlecieć trzeba! Posuwam się szlakiem, jakim rok rocznie ciągną lotne ptaki — to jest wzdłuż Nilu. Brak mi tylko skrzydeł, to też nie pod gwiazdami lecę, ale wlokę się raczej wyboistą drogą, pełną miałkiej sproszkowanej ziemi, w której grzęzną koła roweru i zmuszają do pieszego poruszania się.

Droga zła — górą pali żarne słońce — a dzikie gromady dzieci obsypują mnie gradem spalonej grudy i szczują psy, wiecznie głodne, a tem samem bardzo złośliwe. Od czasu do czasu drogę zastępuje mi wiejski policjant, z którym trudno dać sobie radę. Dostając zaledwie kilkanaście złotych miesięcznie, stara się „bakszyszem“ dorobić na życie, gdzie może; a że ja sypać pieniądzmi niemogę — więc czasem wynikają naprawdę nie miłe sceny. Trzeba się kijem bronić przed natrętami.

Mimo wszystko piękny jest Egipt, ciekawy tak krajobrazowo, jak i pod względem rozwoju, choć ten rozwój to nie dzieło Egipcjan, w każdym razie nie dzieło Arabów tutejszych, którzy stanowią 91% ludności.

Arab to małe dziecko, kapryśne, złośliwe, a nadewszystko leniwe, choć zdolne; gdy jednak ma trochę grosza w kieszeni pracować nie będzie. Są wprawdzie i bogaci Arabowie, ale ci pracą nie doszli do majątku, tylko rabunkiem, czy „handlem politycznym“ — a że utrzymali do dziś swe fortuny, to tylko dzięki wyzyskowi sił roboczych, które na nich pracują.

Największem naturalnem bogactwem Egiptu to Nil — użyźniający ziemię. Ponieważ Egipt należy do krajów, gdzie wiecznie uśmiecha się słońce, to też rolnictwo tutejsze polega na sztucznem nawadnianiu i od lat tysięcy mieszkańcy z nad Nilu przedewszystkiem w tym kierunku wysilają swe mózgi.

W najbliższych latach rolnictwo Egiptu znacznie się rozbuduje — przez stworzenie kolosalnej tamy koło pierwszej katarakty, a powstałe sztuczne jezioro zapewni dostateczną ilość wody do podwójnej uprawy i uniezależnienia się od kaprysów Nilu. Tama ta — o której raz jeszcze wspomnę później, jest wstępem do dalszych prac w tym kierunku.

Rewolucyjny spadek cen bawełny, która w latach ostatnich stanowiła podstawę tutejszego rolnictwa, pchnął kapitały egipskie i zagraniczne do budowy olbrzymich fabryk, które już w najbliższych latach zasypią dalsze i bliższe kraje taniemi wyrobami tekstylnemi, których dotychczas wyłącznie dostarczała zagranica. W wielkiej mierze spadek cen bawełny spowodowali Anglicy, chcąc swym fabrykom zapewnić tani surowiec, jednak kto wie, czy sami na siebie nie ukręcili bata — jak mówi przysłowie.

Fabryka egipska — prowadzona przez fachowe siły zagraniczne — obojętne w jakiej gałęzi przemysłu — ma widoki kolosalnego powodzenia. Mało wymagający a zdolny, choć i bezgranicznie leniwy tutejszy robotnik, daje możność konkurencji wprost nieograniczonej, tembardziej, że żaden przedsiębiorca, choćby chciał lepiej opłacić robotnika — nie może tego uczynić, bo wtedy sam pracowaćby musiał. Arab bowiem dobrze opłacony za pracę, tak długo pracować nie będzie, aż głód go zmusi do zarobkowania znowu. Na drodze do Kaira, po południową granicę Egiptu leży cały szereg dużych cukrowni. Jest to jedyny przemysł poważny Egiptu — choć po ukończeniu tamy, o której wspominam, znacznie wzrośnie produkcja tego artykułu. Cukier z tutejszych fabryk jest bardzo dobry i tani jak nigdzie, to też „krzepi“ on nawet największych biedaków i nikt, nawet Beduin nie żałuje go swoim dzieciom.

Poważną pozycję w bilansie handlowym Egiptu stanowi przemysł hotelowo - restauracyjny. Rok rocznie nieprzeliczone rzesze turystów ściągają tu z całego świata, choć ostatnio po krachu amerykańskim nastąpił poważny zastój. Zbliżający się sezon (tylko zimowy!) zapowiada się dość korzystnie a Towarzystwo „Wielkich Hoteli Górnego Egiptu“ na gwałt renowuje olbrzymie pałace nad Nilem.

Warto naprawdę zobaczyć Egipt — jego zabytki starożytności, piękne szmaragdowe ogrody nad Nilem, które wiecznie rodzą, a zwłaszcza przeżyć kilka czarownych nocy. Upić się czarem wschodu i zachodu słońca — prześnić kilka upojnych księżycowych nocy — dać się wycałować lubieżnemu słońcu wtedy, gdy tam u nas w Europie zadymka śnieżna po polach się włóczy — ale — — —

Pozwolić sobie na zimową podróż do Egiptu może tylko człowiek bardzo bogaty, lub bardzo biedny — i nawet pod tym względem Egipt jest krajem świateł i cieni.

Tu natrętny żebrak, gdy go odegna przybysz — żebrakiem cię przezwie i kamieniami obsypie; gdy dasz grosz — zwoła całą zgraję przyjaciół i skórę z ciebie zedrze. To Egipt! Tu tylko lud respekt ma przed przepysznym powozem, luksusowym autem — biada jednak, gdy ktoś się zdradzi, że się liczy z groszem.

Jutro opuszczam Luxor, a za dni kilkanaście będę już w Sudanie, choć szmat drogi przedemną — drogi i bezdroży. Może list następny ciekawszy będzie, może nawet uda mi się zrobić zdjęcie, jak mnie lew zjada na śniadanie, lub coś w tym rodzaju. Tak! wjeżdżam w królestwo lwa, w kraj, gdzie na kroku każdym czyha śmierć. A jednak choć liczę się z trudem dni najbliższych, jakaś przepotężna siła gna mnie naprzód — oprzeć się jej — brak mi mocy.

Teraz siedzę nad Nilem i podziwiam jego rozlane szeroko wody...

Egipt już za mną daleko... Ogarnęła mnie pustynia i kraj dziki i obcy..

Słońce dopieka coraz bardziej, przedewszystkiem zaś dokuczają komary — kąsają bezlitośnie i oka zmrużyć nie dają, a żaby — korzystając, że brodzące ptactwo uśpione — odprawiają sejm głośno, całą dolinę nad Nilem wypełniając niemożliwym gwarem.

Kazimierz Nowak.

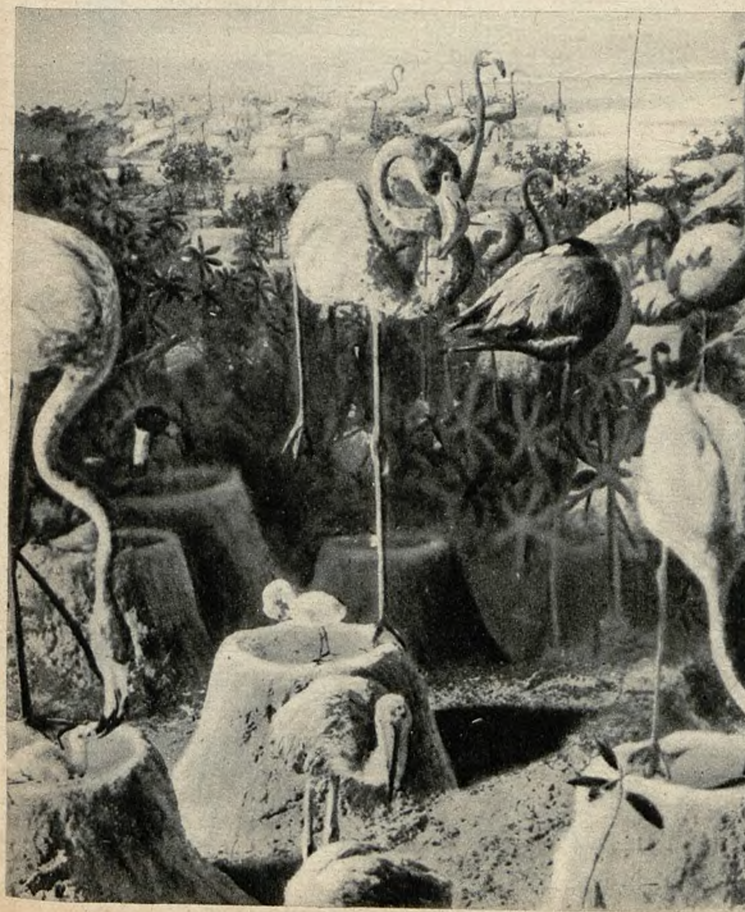


Nasz współpracownik Wielkopolanin p. Kazimierz Nowak w gronie koczujących Arabów na pograniczu Egiptu i Cyrenajki.

Płochliwy zwierz u wodopoju. Zdjęcie z Sudanu. Kraj ten jest eldoradem dla myśliwych. Obfituje bowiem w lwy, słonie, żebry, antylopy i ptactwo błotne.



Sudan od północy zamieszkały jest przez Arabów, Berberów, Maurów i Tuaregów, od południa zaś przez Murzynów, należących do szczepu Mandigo, Mossi, Niam-Niam i t. d. Na zdjęciu młody Sudańczyk, odpoczywający po trudach podróży.



Nieprzeliczone stada flamingów, brodzących nad Nilem.



Nosiwoda, t. zw. sègga, który w skórzanym worku, czyli w girbie roznosi po mieście brudną wodę z Nilu.

KARCZMY STARE I ZAPOMNIANE.

Pamiętacie przecież dobrze przedziwną architekturę Soplicowskiej karczmy, w której gospodarzył Jankiel cymbalista.

Miała ona ganek na wielu białych kolumienkach oparty, miała fasadę rzeźbioną, a dach wielki i mchem porosły, jak lisia czapa cadyka z Kalwarji. Panoszyła się przy drodze i ku wygodzie podróżnych szeroko na dworskiem polu osiadła.

Ale po karczmie jankielowej już tylko wspomnienie pozostało, już tylko nieliczne i zapomniane jej siostrzyce na dalekich drogach ziem wschodnich... dogorywają. A przecież karczma nie poślednie miejsce w karcie dziejów Rzplitej zajmowała, a przez dziejopisów niesłusznie zapomnianą i pominiętą, nie dostąpiła honoru umieszczenia o niej wspomniena w wielkiej księdze przeszłości... Dziś o karczmach jeszcze tu i ówdzie pozostałych na Polesiu i Wileńszczyźnie pogadamy...

Nie o tych karczmach, które dla wyzysku włości szczwany arendarz utrzymywał, nie o tych, które za panowania Sasów, już tylko centralą opilstwa się stawały, ale o tych, które pozostały jako bardzo szacowne sepety, w skrytkach swych i zakamarkach legendę i historję czasów bardzo dawnych, a kochanych ukrywające...

Karczmy — sale obrad przedsejmikowych, karczmy — centrale rendez-vous panów na łowy się wybierających, karczmy — postoje poczty — to nasz temat...

Niewiele ich już niestety, na ziemi polskiej pozostało, niewiele, a i te co dotąd żywią... zapadłe są, spełzłe i przygarbione jak staruchybaby na przydrożu siedzące... Przy wielkim trakcie, gdzie koła tysiącznych wozów z wnętrza ziemi złoty piach dobywają, w cieniu lip starych, odwiecznych, przywarowało do ziemi karczmisko... Nazywa się ta miejscowość Rozstaje...

Dach wielki, gontem pokryty, na czterech ścianach się wspiera, a ściany te połatane i cerowane deską i murem o długowieczności mówią... I ganek.

Majstersztyk sztuki snycerskiej jakiegoś domorosłego artysty... Dwa lwy wspierają łapami herb, zapewne należący do pana tych włości. Z herbu została tylko korona i połowa tarczy, na której niewyraźnie rysuje się postać jelenia w skoku...

Otwórzmy drzwi dębowe, skowane wielkiemi gwoździami kowalskiej roboty i wejdźmy do sieni. Sień wielka jak refektarz klasztoru, pułap płaski i okopcony, a pod ścianami ławy i stoły.

To „duża sala".

Od niej, jak ramiona wielkiej ośmiornicy idą w głąb karczmy cieniste korytarze, na lewo i prawo i prowadzą do gościnnych komnat. — Tak, jak od wieków bywało: na lewo dla ichmościów, na prawo dla jejmościanek...

Na belce pułapu zwisają kute żelazne klamry dla łuczywa, a pośrodku wyryto datę stawiania karczmy.

A. D. 1774 i wzmianka grubą warstwą tynku zamazana: „Stani... Augusti... Reg..." i dalej słowa, których odczytać niepodobna...

Skrzypnęły poza nami drzwiczki małe, a masywne...

Zwabiony łoskotem bryczki, wyszedł na powitanie gospodarz...

Wieleż może mieć lat ten człowiek; jakiej jest narodowości?

Długa biała broda, łeb łysy i siecią żył poorany, a oczy błękitne i wypłowiałe, zdają się mówić, że długo, długo w słońce patrzyły...

— Pochwalony...

— Na wieki wieków. Czy wy jesteście tu gospodarzem?...

— Tak panok ja...

— Jak się nazywacie?

— Gospodarze wołają mnie Ajzyk, a jak który z panów, to mówi zwyczajnie „Żydku".

A więc to jest Żyd, Żyd kresowy, ale skąd u niego ten piękny język polski, nie spotykany na Kresach...

— Ależ wy doskonale mówicie po polsku!

— A jak ja mam mówić. Ośmdziesiąt siedem lat tu żyję. Patrzę, słucham, z panami targuję, to jak ja mam mówić?

— Dawno już siedzicie na arendzie?

— Cały swój wiek, a i ojciec, od nieboszczyka pana marszałka, wieczny mu spokój, karczmę trzymał...

— Nie wiecie, kiedy karczmę i kto budował?

— Kto ją wie? Stara ona. Więcej ma lat, niż wasza wielmożność i ja razem... A tu, tu są różne napisy, co to dawnemi laty panowie dla zabawy stawiali...

Podchodzimy do ścian bielonych... Na belkach ścian widnieją napisy dla zabawy i pamięci ryte. Mozolnie i powoli odcyfrowuję:

„Mówił ktoś, że kiep jest Łoś".

A dalej...

„Co łoś to zwierzyna,
A co kiep, to Puzyna"...

Zapewne finał wierszowany, jakiejś sprzeczki sąsiedzkiej między dwoma potężnemi rodami Polesia...

Żyd Ajzyk zna tę historję.

— Najpierw to oni się bardzo na siebie źlili, ale potem do karczmy przyjechali i była zgoda. To już u panów taka fantazja.

Szukamy dalej.

„Je t'aime Marie"...

O! o! romansik jakiś, czy miłosna historja, którejś z niegodziwych prababek. Jakiej? trudno-by dociec, bo omal-że wszystkie panie imię Matki Zbawiciela tu noszą... Może, sędziwą już matronę będąc, Marynia, do której te słowa ryto, do karczmy zajeżdżała, by na napis popatrzeć i lata dawne wspomnieć...

A dalej wielkiemi literami pisano:

„Klęska... na wiosnę powrócim
zwycięzcy... A. Z. 1812 Rok..."

Zrozumiałem — już nie powrócili...

— Czy macie co do zjedzenia?

— Nie wiele, a i to same proste jadło, panowie teraz mało kiedy zajeżdżają, to się i nic nie trzyma...

— A do picia?

— Jest „prosta z blaszki" (wódka) i kwas chlebowy...

— Dajcie kwasu...

Rozejrzałem się po karczmie... Wieleż-by opowiadać mogły te ściany, co dawnych ludzi w sobie gościły. Wieleż intryg tu się zawiązało, wiele sporów poczęło i wiele przymierza tutaj zapito... i wiele łez... i wiele szczęścia...

— — — — — — — — — —

Przy każdej karczmie, jak zwyczaj każe, musi być „świroń" dla paszy i obszerna stajnia dla koni, któremi przyjeżdżają goście, przy drodze zaś „Boża męka" w postaci pięknie rzeźbionej kapliczki z figurą świętego, by lud wiedział, że ziemia to chrześcijańska...

Kapliczek tych coraz już mniej. Jedne powędrowały do muzeów, inne zniszczył czas i wojny. Niemcy wzbogacili w czasie swego pobytu na „kresach" swe muzea etnograficzne, zabierając nie tylko „świątki", ale i całe kapliczki i ogrodzenia ich.

Mało ich już i coraz ich mniej, miejska tandeta zabija przemysł ludowy, a szynki miasteczkowe zadają śmiertelny cios przydrożnym karczmom...

Karczmom starym — pamiątnicom...

— — — — — — — — — —

Przeczą zapamiętale temu historycy esteci z Al. Krausharem na czele i kruszą kopje w świętem oburzeniu... Fi donc! jakże może być w karczmie?!!...

A jednak tak było w istocie. Pobiwszy Moskali na łeb na szyję pod Pułtuskiem, omijając długie kolumny swej armji, klucząc i drogę przecinając, w karecie zajechał Napoleon do karczmy w Błoniu...

A dalej, wiecie co dalej się stało: Przypadkowe spotkanie w karczmie dało początek najpiękniejszemu romansowi empiru.

W karczmie przydrożnej pod Błoniem, spotkał Wielki Cesarz panią Walewską Marję i znalazł jedyną, wielką i prawdziwą miłość swego życia...

Przeczy to wszelkim zasadom wytwornego ancien-regimeu, a jednak prawdy skreślić niepodobna. W polskiej karczmie wplótł Orzeł z Korsyki, do złotych laurów swej korony, skromny fijołek wielkiej miłości.

— — — — — — — — — —

Tak się złożyło, że złe siły i duchy nieczyste, karczmy właśnie za siedzibę swą obrały. W karczmie pod Brasławiem biała dama po gościnnych pokojach się szasta i podróżnych płoszy, na poły zrujnowane karczmisko za Bołtupiem w noce styczniowe nawiedzają zbrojni jacyś panowie, a gdy arendarz powitać ich wyjdzie, znikają, jak gdyby z waty byli utkani... zaś co gorsza już i przed nocą wspominać się nie radzi w karczmie na Glinach (pow. kobryński) djabłowie z grobu ciało karczmarki wywlekają i po karczmie ciągać zwykli. Nawet raz samej dziedziczce z Suchowczyc w postaci tak plugawej się ukazali... Nocami też, gdy ostatnie wozy włościan karczmy opuszczają, po salkach i korytarzach starych sadyb... bezszelestnie chadza Cisza...

Śpi Żyd-arendarz, śpią rozchełstane jego dzieciaki i śpią kury w chlewku na grzędzie...

Zaś po zakamarkach i korytarzach tłuką się sny i wspomnienia lat minionych i dziejów niesamowitych.

Właśnie wszedł księżyc i przez małe okienko wdarł się do opustoszałej izby.

Nakreślił na podłodze znak krzyża, przy pomocy ram okienka i siły nieczyste ustąpiły...

Tylko stara lipa za karczmą stojąca cicho szeptać zaczęła modlitwy...

Feliks Dangel.



Karczma w Czombrowie (ziemia Wileńska). Na pierwszym planie widoczny charakterystyczny „świron", czyli spichlerz.

FRYZURY I KAPELUSZE.



Piękny toczek z czarnego aksamitu i białej skóry „Galuchat".

Linja modnej sylwetki idzie stale i konsekwentnie w kierunku uwysmuklenia postaci przez obcisły na biodrach krój sukien i okryć, podniesienie linji stanu i rozszerzenie wybitne ramion, przez bufiaste rękawy i szerokie kołnierze, pelerynki i wszelkiego rodzaju t. zw. collerette i rysz.

Wskutek tej tendencji punktem centralnym, ku któremu dąży cała uwaga mistrzów mody, jest górna część postaci i przedewszystkiem główka kobieca.

Czy w kapeluszu, czy bez niego, główka ma w staranności fryzury i kapelusza akcentować moment ukoronowania całej postaci.

Na fryzurach zaciężył wybitnie wpływ fryzur antycznych Antoina. Zniknęły rozwichrzone pukle włosów, fryzury przylegają miękkiemi falami do głowy a na skroniach i na czole tworzą kapryśnie postrzępione i pierzaste nierówne grzywki. Trwała ondulacja, mimo rzekomych szkodliwych wpływów, zwyciężyła na całej linji i zastąpienie jej nie jest już do pomyślenia.

Fryzury tego rodzaju korzystne są bardzo do modnych fasonów kapeluszy. Małe toczki, turbany i berety przylegają mocno do główki a tylko figlarnie z pod nich wyglądają pierzaste grzywki.



Uroczy „capeline" z czarnego panne'u, przybrany białą skórą i metalową klamrą.



Modnie zaczesana główka. Przylegające w płaskiej ondulacji pukle włosów kończą się figlarnemi loczkami.



Turban z aksamitu w kolorze brązowym, ozdobiony poprzecznemi zakładeczkami.

Narazie nosi się przedewszystkiem kapelusze aksamitne, przybierane skórą, futrem i metalowemi klamrami. Miękkie aksamity ślicznie układają się w najdrobniejsze fałdziki i zakładki, to też odszycie kapeluszy jest bardzo pracowite i fantazyjne w motywach zdobniczych. Także skóra i futra, używane do kapeluszy, muszą być z gatunków najdelikatniejszych i miękkich, aby można ich było użyć do wykonania tego rodzaju fasonów kapeluszy.

W zakresie kolorów najmodniejszy jest ciągle czarny i czarny z białym, choć pozatem utrzymuje się cała gama odcieni brązowych i granatowych. Zestawienie dwóch kolorów lub dwóch odcieni jednego koloru podnosi walor oryginalności kapelusza i zostawia pole do popisu dla artystycznych indywidualności.

Oryginalność modelu to rzecz w dzisiejszej modzie najcenniejsza i za nią płaci się najwięcej. Ale nie można oryginalności dać się przerodzić w zbytnią ekscentryczność, bo ta z prawdziwą elegancją — a o nią przecież przedewszystkiem chodzi — nie ma nic wspólnego.

W. W.

U PROGU NOWEGO OKRESU
TEATRU MIEJSKIEGO im. J. SŁOWACKIEGO W KRAKOWIE.


Ksiądz Loga (p. Pągowski) i Jan (p. Zastrzeżyński) z „Fantazego" na scenie krakowskiej.

Wieczór 1-go października 1932, to nie zwykłe rozpoczęcie nowego sezonu na krakowskiej scenie, która nawet dzisiaj jeszcze w niemałej mierze rozstrzyga o stanie sztuki teatralnej w Polsce. Wieczór ten, to inauguracja nowego okresu tej sceny. Do księgi dyrektorów Teatru Miejskiego w Krakowie, w której zapisane są tak świetnie nazwiska, jak z nieżyjących już Pawlikowski, Kotarbiński, Rydel, z żyjących Solski, Grzymała-Siedlecki, Trzciński — historja wpisuje w tym dniu nazwisko Juljusza Osterwy. Nazwisko, posiadające donośny i miły dźwięk na całym obszarze Rzeczypospolitej, wszędzie, gdzie z zaciekawieniem patrzy się na współczesną dolę i niedolę teatru polskiego, wierząc niezłomnie, że uczestnicząc z natury rzeczy w ogólnym kryzysie teatralnym, wyrwie się on z niego i kulturze narodowej nowe przysporzy wartości. Osterwa-aktor, to magnes i przed wojną i po niej, ściągający widzów do sali teatralnej. Osterwa-dyrektor, to indywidualność znana już z kilkuletniego kierowania „Redutą". W Krakowie znajdzie on nowe i szersze pole pracy. Sam przystępuje do niej z zapałem i wiarą w siebie, kulturalne społeczeństwo Krakowa tę ufność podziela i niewątpliwie nie dozna zawodu.

Na inaugurację swej działalności dyrektorskiej w Krakowie p. Osterwa wybrał „Fantazego" (czyli, jak inaczej jeszcze ten przez samego twórcę nienazwany dramat Słowackiego zatytułowano: „Nową Dejanirę", albo „Niepoprawnych"). Widocznie nowy dyrektor nie zamierza iść po linji najmniejszego oporu, lecz przeciwnie odważnie ima się przedsięwzięć trudnych, bardzo trudnych. Bo „Fantazy" to wprawdzie jedna z najpiękniejszych sztuk Słowackiego, ale zarazem najbardziej skomplikowana i przez to właśnie i dla aktorów i dla publiczności najtrudniejsza. W tem przedziwnem dziele romantyzmu miesza się tragizm z groteską, powaga z ironją, z dramatycznością liryzm w sposób, który dla starszego pokolenia, oczytanego w romantyźmie i duchem i czasem jemu bliskiego był niejednokrotnie zawiłą zagadką, a dla młodszego, od tamtych czasów fizycznie i wewnętrznie tak bardzo oddalonego, tem większą jest tajemnicą. Ale może właśnie ta szczególna osobliwość spotęguje wrażenie sztuki na publiczność, teatrowi podczas tych wieczorów nada charakter dostojności, stworzy w widowni niecodzienny nastrój.

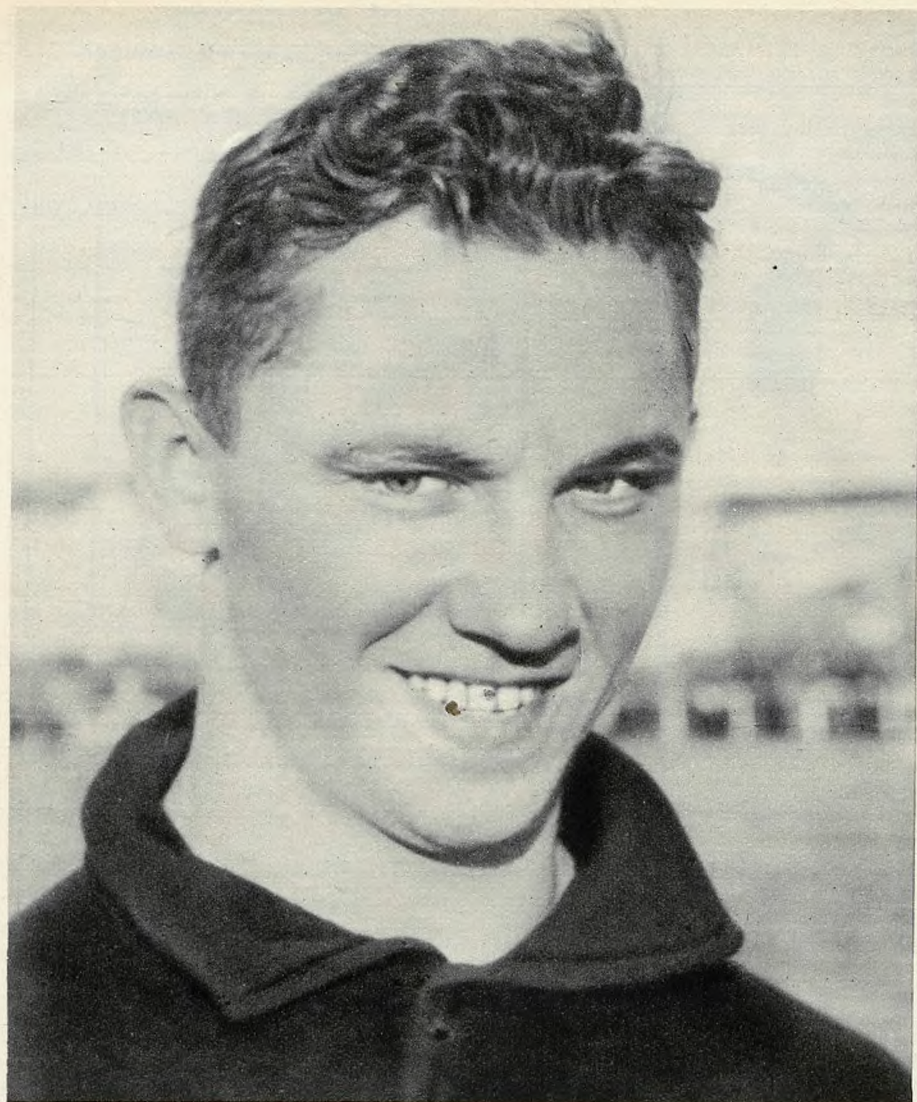
„Fantazy" idzie na początek, bezpośrednio po nim dojdzie do głosu nowa literatura. Po Słowackim, z którego nazwiskiem związane są najpiękniejsze wieczory Teatru Miejskiego w Krakowie, daną będzie nieznana jeszcze z żadnego przedstawienia sztuka współczesna p. Pawlikowskiej, p. t.: „Egipska pszenica". Tą jednak gwiazdą, pod której znamieniem pozostawać będą pierwsze miesiące nowego okresu, będzie Stanisław Wyspiański. W listopadzie br. upłynie 25 lat od jego śmierci. Rocznicę tę święcić będzie cała Polska, ale główny obchód odbędzie się, jak to zresztą z natury rzeczy wynika, w Krakowie, a w tych uroczystościach znowu punktem centralnym będą poświęcone Wyspiańskiemu przedstawienia teatralne.

Tak więc próg nowego okresu Teatru Miejskiego im. J. Słowackiego w Krakowie przekraczamy ze świadomością, że w gmachu tym, dwadzieściadziewięć lat już Sztuce poświęconym, dziać się będą rzeczy nowe i piękne. **F.**

Juljusz Osterwa, jako Fantazy i p. Daszyńska jako Djana.


Scena zbiorowa z „Fantazego" Juljusza Słowackiego na scenie krakowskiej.

ZDJĘCIA AG. FOT. ŚWIATOWIDA



Doskonały „oszczepnik" polski Mikrut zajął pierwsze miejsce na zawodach w Pradze i w Wiedniu, oraz drugie w Budapeszcie.

Sezon sportowy pod jesień ożywił się znacznie, dowodem czego jest szereg interesujących spotkań, które rozegrali polscy sportowcy nietylko w kraju, ale i zagranicą. Były one ukoronowaniem dotychczasowych jednostkowych występów poza granicami kraju, a sumarycznie biorąc dowiodły, że sport polski czyni ustawiczne postępy, doganiając tyle nas wyprzedzające, kraje zachodniej Europy.

Na pierwszy plan wysuwa się tournee reprezentacji lekkoatletycznej, która w ciągu jednego tygodnia spotkała się, aż w trzech stolicach środkowej Europy z reprezentacjami Austrji, Czechosłowacji i Węgier. Zadanie to, zwłaszcza, jeśli weźmie się pod uwagę, że większość naszych zawodników powróciła niedawno z Olimpjady, było nadzwyczaj trudne, a jeśli ze spotkań tych wyszliśmy obronną, rzec można, ręką, to tylko zasługa ambicji i ofiarności naszych reprezentantów. Nie brakło przytem niemiłych niespodzianek. Z Czechosłowacją bowiem wygraliśmy zaledwie różnicą dwie trzecie punkta, z Austrją zaś przegraliśmy mimo, iż liczyliśmy na pewną wygraną. Jedynie wynik z Węgrami, 32:50, odpowiada naszym oczekiwaniom, a nawet jest nieco korzystniejszy.

Pokreślić jednak należy niezwykle doniosły fakt propagandy polskości w krajach, na zbliżeniu z którymi tyle nam zależy. Zarówno w Pradze, jak we Wiedniu, jak i w Budapeszcie, polska ekipa była przedmiotem żywiołowych a niezwykle przychylnych owacyj. Prasa zagraniczna zgodnie podkreślała wysoki poziom polskiego sportu.

Znacznie lepiej powiodło się naszym piłkarzom. W jednym dniu reprezentacja Polski musiała stoczyć walkę na dwóch frontach. W Bukareszcie z Rumunją, a w Warszawie z Łotwą. W tem ostatniem spotkaniu chodziło o ponowne wykazanie naszej wyższości nad Łotyszami, zaś w Bukareszcie czekało naszych piłkarzy odpowiedzialne zadanie rehabilitacji za ostatnią, w r. ub. poniesioną porażkę w Warszawie. Z obydwu spotkań piłkarze nasi wyszli zwycięsko. W Bukareszcie, wśród ogromnie niesprzyjających warunków klimatycznych (tropikalne upały) piłkarze nasi zwyciężyli w wysokim stosunku 5:0, zdobywając sobie uznanie nietylko w kraju, gdzie czekano na wynik zwycięski, ale również i zagranicą. Pocieszającym przytem jest fakt, iż drużyna polska w spotkaniu tem wykazała niezwykle wysoki poziom gry. Drużyna polska była serdecznie podejmowana przez organizatorów, jak również przez kolonję polską w Bukareszcie, która prawie, że w komplecie stawiła się na boisku, ciesząc się ze zwycięstwa polskich barw.

Trudniejszym okazał się do wygrania mecz z Łotwą w Warszawie, na który kapitan Związkowy P. Z. P. N. Kałuża wystawić musiał skład drugorzędny. Łotysze poczynili w ostatnich czasach znaczne postępy w piłkarstwie, to też pierwsi uzyskali bramkę i przez długi czas zwycięstwo Polski było poważnie zagrożone. Ostatecznie jednak Polska odniosła sukces, bijąc Łotwę 2:1, który to wynik należy uważać za pomyślny, jeśli się weźmie pod uwagę, że musieliśmy wystawić drużynę, składającą się z graczy drugiej niejako klasy.

Jak więc widzimy, sezon jesienny przyniósł nam aż pięć międzynarodowych spotkań, które w znacznym stopniu ożywiły, nieco monotonne w ostatnich czasach życie sportowe. **W. D.**

Z OSTATNICH SPOTKAŃ SPORTOWYCH.



Start do biegu na 5 km. w Budapeszcie. Pierwszy od prawej: Kusociński, trzeci Hartlik.



Heljasz (Warta, Poznań) zajął drugie miejsce w Pradze, a pierwsze we Wiedniu i w Budapeszcie.



Fragment z meczu Polska — Łotwa w Warszawie.

Rebus.

(uł. W. Waryszewski — rys. J. Stratilato, czł. Klubu Szar.).



Za rozwiązanie powyższego zadania Redakcja „Światowida“ przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 15-go października 1932 r. wraz z załączonym kuponem.

Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 38 nadesłali:

T. Kretkowski, Warszawa; Fr. Wiśniewski, Warszawa; J. Kowalska, Warszawa; Z. Tietz, Warszawa; A. Witkowski, Poznań; A. Rotter, Kraków; „Wilnianin“; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; A. Szmytowa, Poznań; M. Szewiakowa, Wilno; A. Papee, Katowice; „Jotel“; N. K. Kozłowski, Warszawa; **Zofja Połonczowa, Warszawa (zł. 30.—)**; „Goń“, Warszawa; R. Schützowa, Poznań; T. Sobecki, Poznań; „Żermena“, Warszawa; L. Trepińska, Katowice; **ks. Leopold Klementowski, Tarnopol (zł. 20.—)**; L. Pogoda, Jaworzno; D. Herbstmannówna, Warszawa; H. Rybakówna, Warszawa; **Wacław Mączka, Tarnobrzeg (zł. 10.—)**; St. Mikowska, Warszawa; J. Maziarz, Ozorków; J. Drabikówna, Warszawa; St. Biesiada, Ozorków.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Zofję Połonczową, Warszawa (zł. 30.—), ks. Leopolda Klementowskiego, Tarnopol (zł. 20.—) i Wacława Mączkę, Tarnobrzeg (zł. 10.—).

Wyżej wymienionym w najbliższym czasie prześlemy gotówkę.

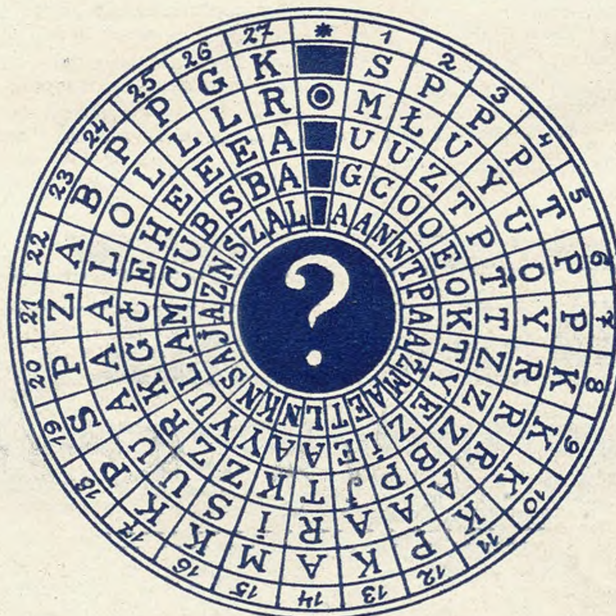
POGRÓŻKA.



— Jeżeli mnie nie wysłuchasz, skoczę do wody.
„Interessantes Blatt“.

Rozwiązanie z Nr. 38

SZARADA: Życie to nie zabawa płocha.



MOZAIKA: Uczy potrzeba, jak szukać chleba.

Od redakcji.

Od zastępcy prawnego p. Wacława Szymborskiego, kierownika pracowni konserwatorskiej na Wawelu, otrzymujemy z powołaniem się na § 19 obowiązującej ustawy prasowej następujące sprostowanie:

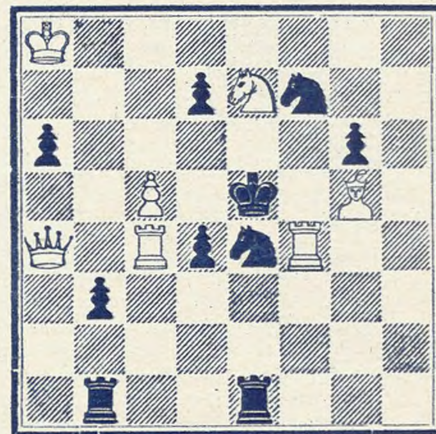
„Nieprawdą jest, jakoby prace konserwatorskie około czterech obrazów Hansa Suessa z Kulmbachu, znajdujących się w kościele Marjackim w Krakowie, z których 2 reprodukcje i fotografję p. Gąseckiego zamieściło czasopismo „Światowid“ w numerze 36-tym z dnia 3 września 1932 r. wykonali pp. Gąsecki i Szymborski, natomiast prawdą jest, że prace te wykonał p. Wacław Szymborski, kierownik pracowni konserwatorskiej na Wawelu“.

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

J. Genntner (IV nagroda w międzynarodowym konkursie „Nowa Praha“ 1929).

Czarne: Ke5, Wb1 e1, Sf7e4, piony: a6, b3, d4, d7, g6 (10).



Białe: Ka8, Ha4, Wc4f4, Gg5, Se7, piony: c5 (7).
3-chodówka 7 + 10 = 17.
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki J. Genntnera:

1. W—c3! (grozi 2. H—c4! i 3×).

I. 1... S—d6 2. H×d4+ i 3×;
II. 1... W—h1 2. W×e4+ i 3×;
III. 1... G×f4 2. H×d7 i 3×.

PARTJA.

Białe: **Dr A. Alechin** Czarne: **H. Steiner**
grana w turnieju w Pasadenie w r. 1932.

Hiszpańska.

1. e4 e5
2. S—f3 S—c6
3. G—b5 a6
4. G—a4 S—f6
5. 0—0 G—c5 **(1)**
6. c3 S×e4 **(2)**
7. d4 G—a7
8. H—e2 f5
9. d×e5 0—0
10. G—b3+ K—h8
11. Sb—d2 H—e8? **(3)**
12. S×e4 f×e4
13. H×e4 d5 **(4)**
14. G×d5 G—f5
15. H—h4 S×e5
16. G×b7 Wa—b8
17. S×e5 W×b7
18. Wf—e1 W—b5
19. S—f3 H—c8
20. c4! W—b7
21. b3 G—g4
22. G—a3 c5
23. S—e5 G—f5
24. g4! g5
25. G—b2!! **(5)** K—g8
26. H—h5 G—e6
27. S—d7! **Czarne poddały się (6).**

UWAGI:

(1) Po 6. S×e5 nastąpiłoby według Möllera: S×e4 7. H—e2 S×e5 8. H×e4 H—e7 9. d4 S—c6!

(2) Na posunięcie 7... G—a7! (Alechin) poleca Dr Tartakower w „Hypermod. Schachpartie“: 7. 7. G×c6 d×c6 8. S×e5 S×e4 9. d4 0—0 10. H—f3 z korzystną grą dla Białych.

(3) Niezrozumiałe poświęcenie piona. O wiele korzystniejszem było 11... d5!

(4) Czarne walczą z trudnościami, stojąc wobec groźby G—c2, tem się tłumaczy ta gwałtowna próba oswobodzenia.

(5) Pięknie zagrano! Gdyby 25... g×h to 26. S—f7+ K—g8 27. S—h6+.

(6) Gdyby 27... H×d7 to 28. H—g5± K—f7 29. H—f6+.

POMIĘDZY DYPLOMATAMI.



— Fatalne czasy przyszły na nas mój drogi. Wszystkie głupstwa, które przedtem robiliśwy my dyplomaci, teraz robią same ludy.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ
W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 156-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 231-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowi 404.200 — w Warszawie 140-725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm. w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

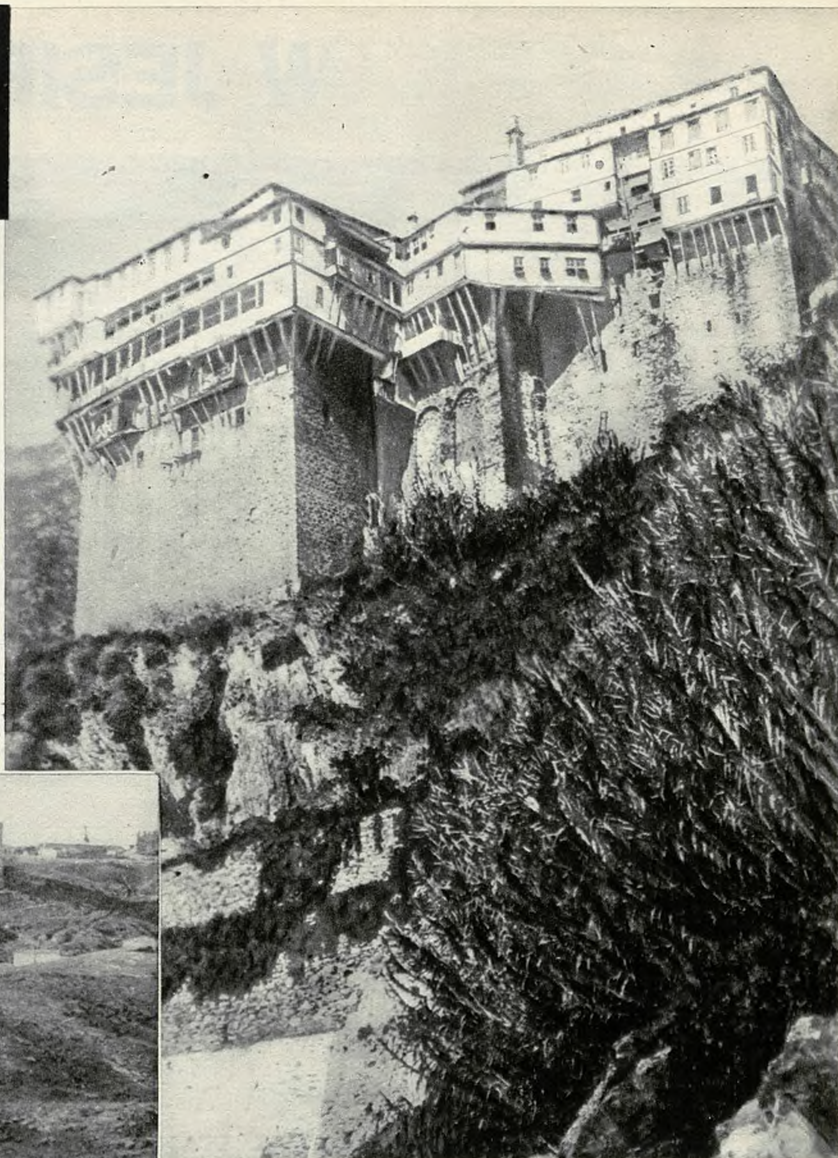
Wydawca i naczelny redaktor:
MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego“ w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 41 *upoważniający do losowania nagrody*

TRZĘSIENIE ZIEMI W GRECJI.

W ubiegły poniedziałek nawiedziło półwysep Bałkański katastrofalne trzęsienie ziemi, które szczególnie silnie dało się odczuć w Grecji. Ośrodek tego trzęsienia znajdował się na półwyspie Chalcedońskim. Ofiarą tej katastrofy padło około 150 ludzi, którzy stracili życie, zgórą 2.000 domów zostało uszkodzonych, zaś 9 wsi uległo zupełnemu zniszczeniu. Grecja, obok Włoch należy do krajów nawiedzanych najczęściej w Europie trzęsieniami ziemi. Szczególnie Grekom dał się we znaki rok 1770. Zanotowano tam wówczas lokalne trzęsienie ziemi w Focydzie. Nikt się jednak niem zbytnio nie przejął, pomimo, że dnia 1 sierpnia po paru gwałtownych wybuchach kilka miast zostało zniszczonych, a z gór Parnasu, Koraksu i Kirfisu zwaliły się olbrzymie złomy skał. Po tym głównym paroksyźmie nastąpił „rój" słabszych drgań, które trwały przez trzy miesiące, aż wreszcie dnia 25 października przyszedł nowy wstrząs, który zrównał z ziemią mnóstwo budynków i nie oszczędził nawet drewnianych baraków. Nie koniec na tem. Trzęsienie to bowiem trwało prawie nieustannie, aż do 1 sierpnia 1783 r. Z powodu ciągle powtarzających się uderzeń mieszkańcy zagrożonych obszarów stracili wprost nadzieję, że to trzęsienie kiedykolwiek się skończy. Szczególnie ucierpiały wtedy Amfisa i Itea.

Jeszcze gorsze skutki miało trzęsienie ziemi w 1858 r. Wtedy bowiem nastąpiło zapadnięcie się terenu i utworzyły się długie i głębokie szczeliny, sięgające niekiedy 13 kilometrów, olbrzymie zaś obszary gruntów znikły pod wodą. W taki właśnie sposób zostało pochłonięte przez morze w czasie trzęsienia ziemi, w 373 przed Chr. miasto Helike, o którem wspomina Homer.



Klasztory na górze Atos w Grecji. Wedle początkowych doniesień telegraficznych miały one ulec zniszczeniu, później jednak okazało się, że wiadomości te są nieprawdziwe. Klasztory te przechodzą obecnie ciężki kryzys, z powodu braku dopływu nowych sił duchownych i opieki, jaką nad tą republiką mnisią roztaczał rząd carski. Grecki dyktator Pangalos zamierzał mnichów wypędzić z góry Atos, nie zdołał jednak, z powodu załamania się jego dyktatury, tych zamierzeń dokonać. Obecnie liczba mnichów na górze Atos wynosi 2.500.



Widok na miasto Saloniki, które najbardziej ucierpiało od ostatniego trzęsienia ziemi.

W POZNANIU, KALISZU I MAKOWIE PODHALAŃSKIM.



Z POZNAŃSKIEJ RODZINY POLICYJNEJ. Dnia 2 października br. odbyła się uroczystość poświęcenia przedszkola, gabinetu fizykalnego i dentystycznego Rodziny Policyjnej. Aktu poświęcenia dokonał ks. gwardjan Bednarz (na zdjęciu). Wśród zebranych widoczni pp. komendant P. P. woj. poznańskiego Goździewski, naczelnik Urzędu śledczego podkomisarz Małyca (drugi od prawej), nadkomisarz Bączkowski (pierwszy od prawej), przewodnicząca Rodziny Policyjnej inspektorka Goździewska (czwarta od lewej), wiceprzewodnicząca Małycowa (piąta od lewej) i przewodnicząca Rodziny Policyjnej Krupowiczowa (trzecia od lewej).

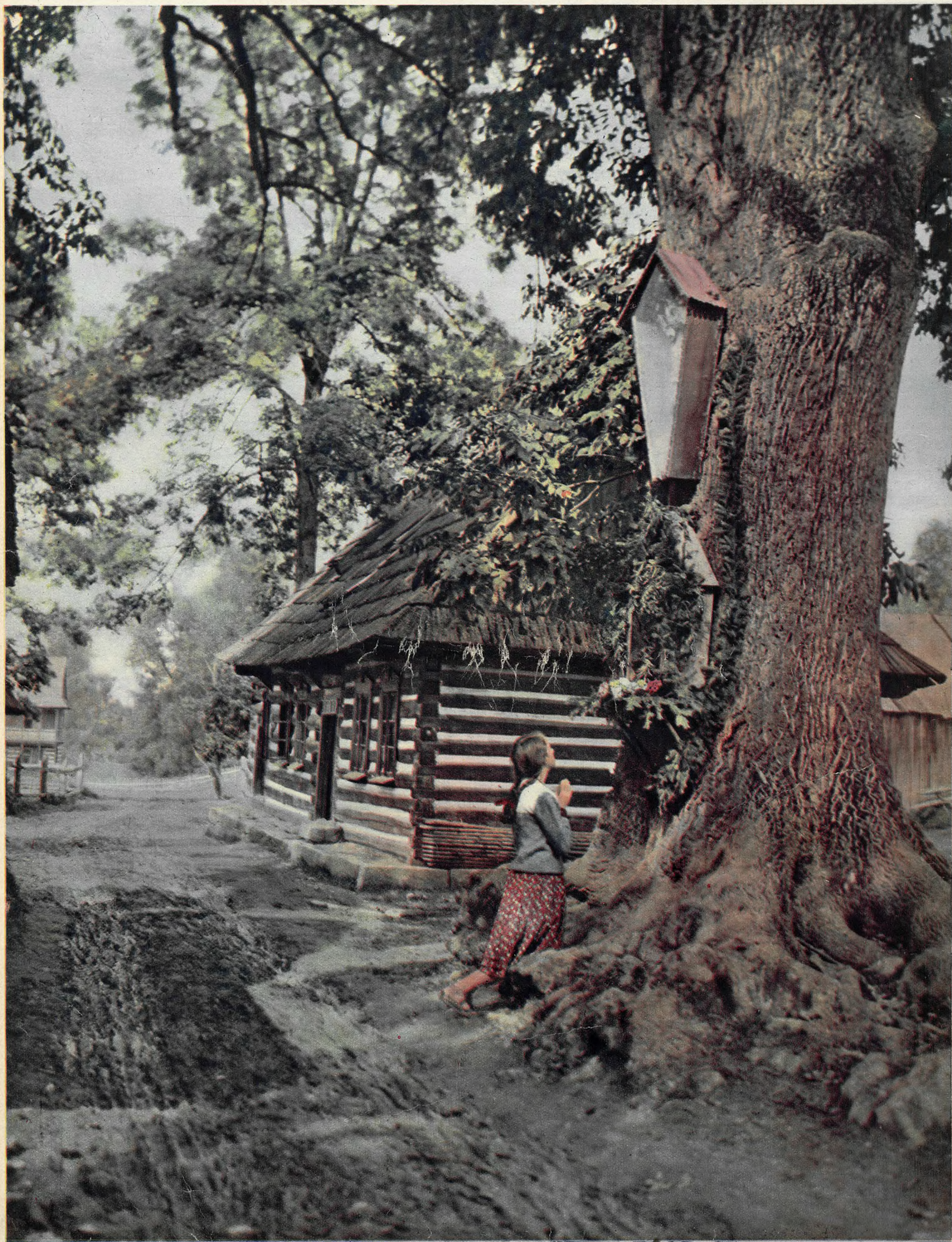


PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE STRAŻY POŻARNEJ W MAKOWIE PODHALAŃSKIM. W ub. niedzielę dzielna straż pożarna makowska święciła swoje pięćdziesięciolecie. W uroczystościach tych wzięło udział dosłownie całe miasto. Maków Podhalański odznacza się łagodnym klimatem podgórskim i jest licznie odwiedzany przez letników. Kolejarze właśnie kończą tam budowę największego sanatorjum w Polsce. Na zdjęciu defilada straży pożarnej pod dowództwem burmistrza Skupińskiego.



ŚWIETLICA POCZTOWCÓW W KALISZU. Na otwarcie jej przyjechał minister Poczt i Telegrafów płk. Boerner, którego powitali na dworcu p. wicewojewoda Potocki, starosta Ostaszewski i prezydent m. Kalisza p. Szarras. Przed gmachem poczty naczelnik p. Badowski wręczył p. ministrowi dyplom honorowy (na zdjęciu), poczem odbyła się defilada i zwiedzanie lokalu nowej świetlicy.

W JESIENNY PORANEK.



Zdjęcie fotografa-amatora p. Zbigniewa Polaka (Kraków).